Pokolenie „Współczesności” Anny Marii Mickiewicz



Zbigniew Mirosławski

Być poetą, to powołanie i praca – takie słowa padają z ust Romana Śliwonika. Przywołanie i opowiadanie na nowo biografii poety i jego przyjaciół (zwłaszcza Leszka Szymańskiego, Zbigniewa Irzyka czy Jerzego St. Czajkowskiego), historii „Współczesności", pisma i grupy literackiej – ma nie tylko rocznicowy sens w 65 lat po polskim Październiku. Omawiane przeze mnie opracowanie Pokolenie „Współczesności" to dzieło Anny Marii Mickiewicz. Idzie w nim nie tylko o sens zrozumienia drogi twórczej pokolenia, czy o sens anegdotyczny. Idzie o nawiązanie do tradycji literackiej, jej upamiętnienie i oryginalne rozwinięcie na miarę naszych czasów, budowanie relacji pomiędzy emigracją a krajem. Sami założyciele grupy literackiej za cel stawiali sobie przywrócić …*literaturze polskiej jej pluralizm i ciągłość tradycji, a także* (wznowić; przyp. aut.) *szeroki kontakt z kulturą Zachodu*…

Recenzowanie książki *Pokolenie „Współczesności"*, pozycji zawierającej szereg: esejów, wywiadów, wspomnień, fragmentów opracowań to przede wszystkim przyjemność zagłębienia się w lekturę z tamtych lat. Wystarczy zestawić wykorzystane źródła, żeby unaocznić wysiłek konieczny do wykonania tej pracy. Są to: Aleksandra Nawrockiego słowo wstępne do numeru 146/2020/2021 *Poezji Dzisiaj*, pt. *Drodzy czytelnicy i miłośnicy poezji*; *Moje spotkanie ze „Współczesnością"*, *rozmowa Aleksandra Nawrockiego z Jerzym Siewierskim o liście wysłanym do Leszka Szymańskiego*, tegoż ostatniego: *O „Współczesności"*

po prostu; Moje *środowisko; Wspomnienie o Marku Hłasce. Spotkanie w Los Angeles,* dalej Romana Śliwonika: *Leszek Szymański – redaktor, pisarz, znakomity organizator, misjonarz*; Stanisława Stanika: *O Leszku Szymańskim*, a także Danuty Błaszak: *Polska literatura powojenna*; *Realizm „Współczesności”, rozmowa z Jerzym Stanisławem Czajkowskim; rozmowa ze Zbigniewem Irzykiem o Grupie „Współczesność”*, *Wywiad z dr Leszkiem Szymańskim, założycielem grupy „Współczesność”*, przedruk z „Gwiazdy Polarnej” 2006, Anny Bukowskiej: *Moje pięć lat we „Współczesności”*; Julii Salwa *rozmowa z Ewą Kretkowską o twórczości Zdzisława Jerzego Bolka*; Zbigniewa Irzyka: *Wspomnienie o „Współczesności”*; Agnieszki Herman *rozmowa z Romanem Śliwonikiem*; wreszcie Anny Marii Mickiewicz wstępne: *Kilka słów…* i *Nowa książka Leszka Szymańskiego* oraz Aleksander Nawrocki – *rozmawia z Jackiem Kajtochem: Czy coś po nas zostanie?* Bohdana Drozdowskiego – *O Współczesności, póki my żyjemy*.

Nie zabrakło przypomnienia wierszy: Romana Śliwonika (*My*), Mariana Ośniałowskiego, Stanisława Grochowiaka, J. S. Czajkowskiego. W anglojęzycznym *Résumé* czytamy o tym, że (nie stosuję cudzysłowu, bo tłumaczę wybiórczo i skracając ów tekst) prezentowana książka jest wyjątkowym zapisem historii literatury. Twórcy „Współczesności” to pokolenie polskiego, niezależnego nurtu literackiego, którego pismo jak chyba powszechnie wiadomo powstało w 1956 roku, w okresie

istotnych przemian ustroju w Polsce. Tworzyli je m. in.: dr Leszek Szymański, Jerzy Czajkowski, Zbigniew Irzyk, Roman Śliwonik, Stanisław Grochowiak i wielu innych. Redakcji „Współczesności" udało się lawirować politycznie, zachować na tyle na ile możliwą niezależność, nawiązać kontakt ze współczesną literaturą światową i wprowadzić nowoczesne formy.

Lektura pokazuje ścieżki od „Współczesności" do Solidarności. Ciekawe są zamieszczone fotografie z 2006 r. w historycznej dla „Współczesności" restauracji „Kamienne Schodki". To wtedy w 50 rocznicę ukazał się specjalny numer 52 *Poezji dzisiaj,* poświęcony powstaniu dwutygodnika „Współczesność". Pokolenie ówczesnych 25-latków, pomijane przez pisarzy hołdujących literaturze socrealistycznej, otwarło się na prawdę i na świat. W ten sposób przebiło się do zaistnienia w literaturze. Przełamało milczenie ignorantów, zajmujących pozycje konformistyczne.

Aleksander Nawrocki napisał *…Liderem był Leszek Szymański… Z wąskiej grupy znajomych stworzył rzecz niemożliwą w owych czasach, gazetę niezależną. W 14-lecie jej ukazania się i w 64-lecie zaistnienia „Współczesności" grupa poetów polskich z USA i z Londynu zwróciła się z prośbą do redakcji o udostępnienie materiałów o Pokoleniu 56 z zamiarem uzupełnienia ich o nowe własne.* Tak wskrzeszono owe czasy niezwykłej literatury i jej

kreatorów.

Opracowanie poświęcone „Współczesności” w 2006 roku wydała redakcja *Poezji dzisiaj*, Aleksander Nawrocki i Barbara Jurkowska-Nawrocka. Książkę poświęconą temu tematowi, *Wywiady – spotkania ze „Współczesnością„*, wydała również Danuta Błaszak w serii *Contemporary Writers of Poland* (USA). Na obu pozycjach opiera się nowa książka. Państwo Nawroccy udostępnili materiały i pozwolenie na ich przedruk. Anna Maria Mickiewicz przedstawia …*odkurzone i na nowo przedstawione barwne sylwetki; towarzyszą ich wypowiedziom trudne często wspomnienia, dotyczące czasów, w których byli młodzi i próbowali niezależnie tworzyć. Jest to swoista mapa literacka polskiego ruchu „Współczesności” 1956 roku.*

Zaczyna się od wspomnień Aleksandera Nawrockiego …*wiersze lubiliśmy tylko Ośniałowskiego, Śliwonika uznaliśmy za wymądrzone, Grochowiaka – dziwolągowate, ale intrygujące. Nie pytaliśmy nauczycieli o przewodnictwo, sami dawaliśmy sobie radę z autorami „Współczesności”. Wiedzieliśmy, że mamy się od nich uczyć…. Najlepiej czytał nam się Andrzej Brycht: jego mocna, proza odurzała nasze prowincjonalne głowy. A z wierszy: Jesienin, Słowiano-rosyjsko-serdeczny… Eliot, Rene Char i Sant Luis Perse…*

Szukali właściwej nazwy, propozycją był Gong, ostatecznie

zgodzono się na „Współczesność”. Udało się uzyskać periodyk o tym samym tytule. Naczelnym był Szymański, jego zastępcą Śliwonik, Andrzej Chaciński sekretarzem, a w kolegium znalazł się Jerzy Siewierski.

Osobistym impulsem dla mnie jest fakt poznania twarzą w twarz Romana Śliwonika, z wymienianych współpracowników-autorów pisma także: Jana Himilsbacha, Ludmiły Marjańskiej, Włodzimierza Odojewskiego, Stanisława Czycza, Andrzeja K. Waśkiewicza, Zdzisława Łączkowskiego, Marka Skwarnickiego, prof. Jana Błońskiego, Tadeusza Śliwiaka, Piotra Kuncewicza, Jerzego Skolimowskiego, Wisławy Szymborskiej i innych. Nie są to wprawdzie konstruktorzy głównych linii pisma, jednakże pojawiający się na jego łamach, dodający mu splendoru. Ważną rolę odegrał szkic *„Uwagi o najmłodszej poezji”*, Jana Wyki. Czytamy w nim: *…mechanizm stwierdzający, że jeśli jest socjalizm, to wszystko musi być lepiej w każdej dziedzinie życia – spowodował, że mówi się o łatwiejszym debiucie młodych. Jest to rozumowanie z cyklu, że koniowi dorożkarskiemu lżej jest biegać w socjalizmie niż w kapitalizmie. Tymczasem praktyka wskazuje, że jest gorzej. Bo: wydłużono proces wydawniczy…, bo są sitwy…. Gdzie pisać? Chyba w klozecie…*

Wyka odnotował nazwiska znanych sobie wówczas młodych, poetów, byli to: Zdzisław Jerzy Bolek, Brycht, Bryll, Drozdowski, Herbert, Harasymowicz, Himilsbach, Ośniałowski, Białoszewski,

Śliwonik, itd. Nazwał ich twórczość „poezją zranionego marzenia”. Pisał: *Młodzi mają ambicję odkłamywania ostatniego dziesięciolecia (1945-55), poznawanie świata przez środki artystyczne, bez upiększania. Bohaterzy ich utworów to sponiewierani starcy, ślepcy, prostytutki, szaleńcy, alkoholicy, chuligani, ginący w kopalniach górnicy, problemy rodzinne, w odróżnieniu od nieomylnych ubowców i monumentalnych działaczy partyjnych, dyrektorów, etc. Młodzi znaleźli sobie bohatera zapomnianego przez literaturę, zgorzkniałego, pozbawionego nadziei i celu. Jest to pokolenie rozbratu z dziesięcioleciem 45–55, odrzuca tradycyjną formę. Młoda poezja woli aluzyjność niż łopatologiczną komunikatywność, odrzuca panegiryki i hasłowość*. Charakteryzując twórczość, za najbardziej warszawskiego uważa Sławomira Kryskę, ceni rozdwojonego – Bolka, Śliwonika. Bryll to wg niego pilny uczeń Jasieńskiego i Jesienina.

W 1 numerze „Współczesności” publikowali: Roman Śliwonik, A. Sawicki, W. Brański, W. Albiński, Z. Sawko, Z. J. Bolek, M. Zakrzewski. Autorami prozy (opowiadań) byli: Monika Kotowska, Andrzej Chaciński, Magda Leja, Eugeniusz Kabatc, Leszek Szymański. Ponadto były wiersze Jeana Cayrola i Francisa Jamesa w tłumaczeniu Mikołaja Bieszczadowskiego. Według Janusza Maciejewskiego *…z ówczesnej „stopce” redakcyjnej przeważały nazwiska, z których nic nie pozostało*. Opinia ta nie jest sprawiedliwa. Sformułowana ok. 1993 r. tj. w czasie edycji

Słownika Literatury Polskiej XX wieku nie uwzględniała przewartościowań dokonywanych od początku lat 90. Na pewno wartość własnej twórczości udowodnili: Śliwonik, Bolek, Grochowiak, Iredyński czy Ośniałowski. Warto przypomnieć, że wiersz Śliwonika pt. *Węgrom* z datą 30 X 56, zdenerwował Gomułkę.

Wszystkiego nie opiszę, bo jest tego bardzo dużo! Lektura to przednia i obowiązkowa!

Wydanie: Biblioteka Poezji dzisiaj, Warszawa 2020/21

Marceli Nencki – stypendysta Alfreda

Nobla



Dwór w Boczkach, „Wieś Ilustrowana”, kwiecień 1913 r.
Maria Duszka *(Sieradz)*

Być może nie zainteresowałabym się postacią Marcelego Nenckiego, gdyby nie to, że w 2017 r. podczas Międzynarodowego Festiwalu Poetyckiego „Maj nad Wilią” w Wilnie poznałam panią Katarzynę Markiewicz. Jak się okazało, jest ona potomkinią i spadkobierczynią rodu Nenckich. Mieszka w Wodyniach w powiecie siedleckim, ale każdego roku w okolicy

dnia Wszystkich Świętych przyjeżdża do Boczek w gminie Szadek, aby zapalić znicze przed kapliczką, która pozostała w parku dworskim. Odwiedza także cmentarz w Rossoszycy, gdzie znajduje się grób rodziny Nenckich. Tak się złożyło, że z Boczek pochodził także mój dziadek Władysław Dostatni, tata mojej mamy, który zginął w czasie wojny w obozie koncentracyjnym Gross – Rosen. Przodkowie moi i Katarzyny Markiewicz na pewno więc się znali. Dziwnym zrządzeniem losu, my, ich potomkinie poznałyśmy się na Litwie. I właśnie to spotkanie, rozmowy z panią Katarzyną zainspirowały mnie do bliższego poznania fascynującej biografii naszego uczonego.

Zacznijmy jednak od historii rodu. Nenccy (pierwotna forma nazwiska to Nencha) wywodzą się z Inflant. W XVII w. otrzymali tytuł szlachecki i prawo używania herbu Lubicz. Mieszkali w Braniewie na Mazurach. W 1841 r. Wilhelm i Katarzyna Nenccy zostali właścicielami wsi Boczki, Sikucin i Kobyla koło Szadku. Mieli prawdopodobnie piętnaścioro dzieci, z czego ośmioro zmarło we wczesnym dzieciństwie.

BOCZKI – BERNO

Marceli Nencki urodził się 15 stycznia 1847 r. Wcześnie został sierotą – jego ojciec zmarł, gdy chłopiec miał 13 lat, matka cztery lata później. Zanim jednak to się stało, już w wieku 9 lat rozpoczął naukę w gimnazjum w Piotrkowie. Ukończył ją w 1863

r. i od razu przyłączył się do powstania styczniowego. Po jego upadku, w obawie przed represjami, zmuszony był wyjechać do Krakowa, gdzie zaczął studiować filozofię. Okazało się jednak, że i w tam nie mógł czuć się bezpiecznie. Przeniósł się więc do Drezna, gdzie zaopiekował się nim pisarz Józef Ignacy Kraszewski, który był zaprzyjaźniony z rodziną Nenckich. Za jego radą Marceli podjął studia na wydziale filozoficznym uniwersytetu w Jenie, uczył się tam głównie języków starożytnych. Wkrótce przeniósł się do Berlina, gdzie, podobnie jak jego brat Leon, rozpoczął studia medyczne na uniwersytecie. Już wtedy zaczął się interesować procesami chemicznymi zachodzącymi w organizmach żywych czyli nauką, którą po jego śmierci nazwano biochemią – terminu tego w języku polskim po raz pierwszy użyto we wspomnieniach o Nenckim na łamach „Czasopisma Lekarskiego” w 1901 r.



Przyjście z wieńcem, z teki p. Nenckiego z Boczek (podpis pod zdjęciem w gazecie), „Wieś Ilustrowana”, przypuszczalnie sierpień 1911 r.

W 1870 r. po napisaniu rozprawy pt. „Utlenianie związków aromatycznych w ciele zwierzęcym” Nencki uzyskał stopień doktora medycyny. Przez dwa kolejne lata prowadził badania z zakresu chemii organicznej w Akademii Technicznej pod kierunkiem Adolfa Baeyera. Jego nowatorskie, odkrywcze prace naukowe zwróciły na niego uwagę środowiska naukowego. Zaczęto doceniać jego talent, przenikliwy umysł i niezwykłą pracowitość. Został asystentem w Instytucie Anatomii Patologicznej w Bernie (Szwajcaria). Tam, doceniony przez życzliwych starszych kolegów, szybko zdobywał kolejne stopnie

naukowe: docenta, profesora honoris causa, profesora nadzwyczajnego, a potem profesora zwyczajnego. Już w wieku 30 lat objął specjalnie dla niego utworzoną katedrę chemii fizjologicznej. Wkrótce został kierownikiem Instytutu Chemii Medycznej. Mógł prowadzić badania, które wywierały duży wpływ na rozwój medycyny, nie tylko szwajcarskiej. Jego sława jako autorytetu naukowego, ale także życzliwego, niezwykle lubianego człowieka sprawiła, że do jego katedry zaczęli przyjeżdżać młodzi naukowcy nie tylko z całej Europy, ale także Ameryki. Konieczne stało się wybudowanie nowej, obszernej siedziby instytutu, gdzie pomieściliby się wszyscy chętni chcący pracować pod kierunkiem polskiego uczonego.

Dr Jakowski, jeden z jego uczniów tak pisał:

> Gdy się przybyło do Berna, po pierwszym zaraz widzeniu się z profesorem, po pierwszych jego radach i wskazówkach, zwłaszcza przybysz z naszego kraju czuł się jak u siebie. Ta życzliwość jego i serdeczność nie ograniczała się tylko do stosunków profesora do uczniów w laboratorium, podczas zajęć naukowych, lecz cechowała i prywatne jego stosunki z rodakami przybyłymi doń po wiedzę. Mogę śmiało powiedzieć, że korzyść odniesiona z pobytu w pracowni Nenckiego przewyższała to, na co udający się do niej był przygotowany.

Podkreślano, że:

> Był on człowiekiem, którego każdy musiał polubić. Życzliwość ludzką zyskiwał niesłychaną prostotą charakteru, zupełnym brakiem zawiści fachowej i najzupełniej równym postępowaniem ze wszystkimi: uczonymi – kolegami, studentami, asystentami, możnymi świata tego i posługaczami pracownianymi.

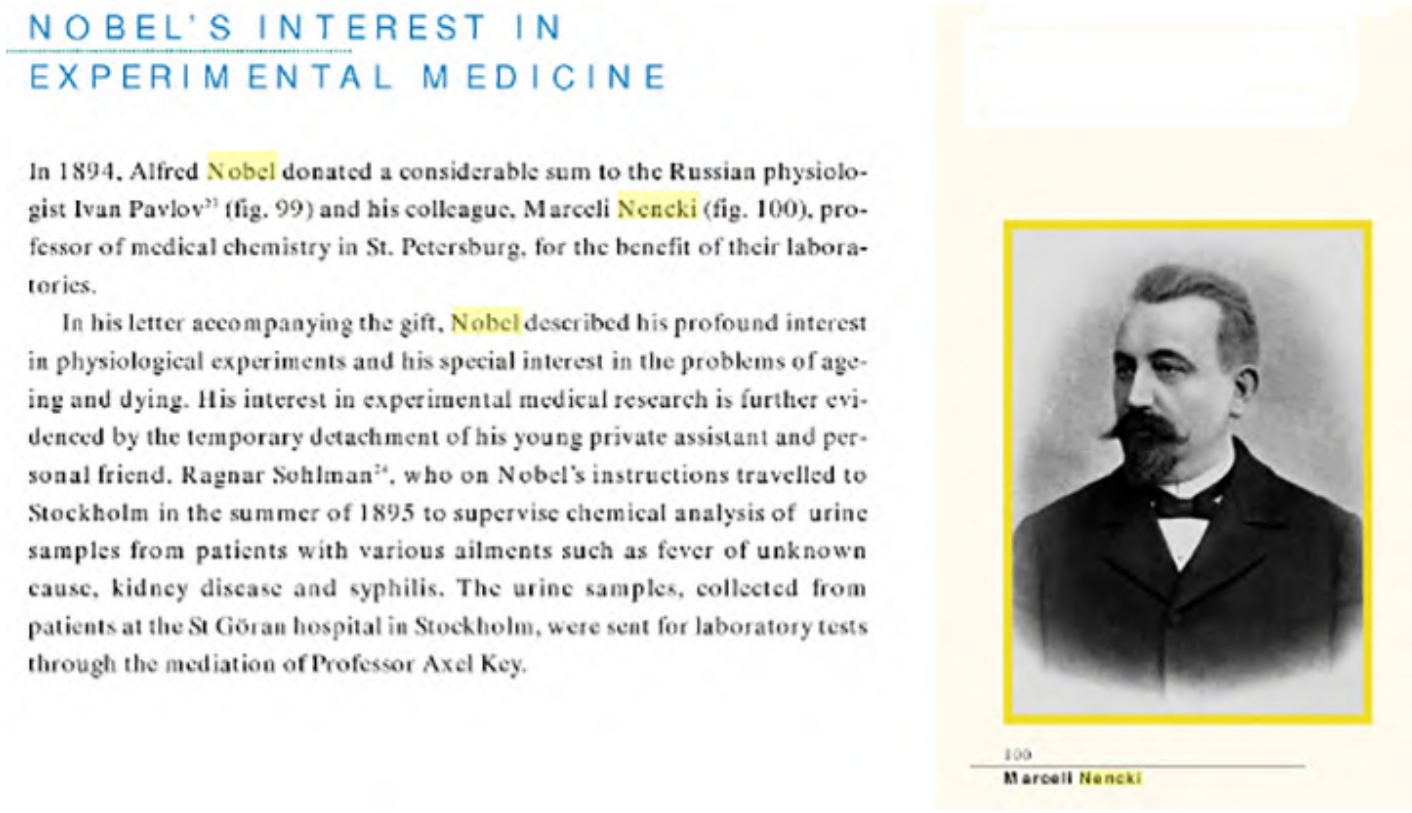
W Bernie Nencki ożenił się z Marią Heleną Schultzen, siostrą swojego kolegi. Miał z nią syna Leona Jana, który został lekarzem. Małżeństwo to dość szybko rozpadło się. Nenckiego nie interesowało światowe życie, jakie lubiła wieść jego żona, i odwrotnie. Maria pozostała w Berlinie, Marceli wyjechał do Rosji. Pozostali jednak w przyjaźni, przez całe życie korespondowali z sobą.

STYPENDIUM OD NOBLA

Po 20 latach pracy w Bernie Marceli Nencki otrzymał zaproszenie do Petersburga. Zaproponowano mu kierowanie Zakładem Chemii w powstającym tam Instytucie Medycyny Eksperymentalnej. Do Rosji pojechało z nim kilkoro jego współpracowników i asystentów, w tym Nadia Sieber – Szumowa.

> Czuję się tu jako tako. Kraj jest mi obcy, ale w laboratorium swoim posiadam bogate wyposażenie i wszystkie środki, abym mógł pracować. I to jest dla mnie rzeczą najważniejszą – pisał z Petersburga w jednym z listów do bliskich.

Nencki współpracował ściśle z kierującym Zakładem Fizjologii Iwanem Pawłowem (tym od „odruchu Pawłowa"). W 1894 r. obaj uczeni otrzymali stypendium od samego Alfreda Nobla. W liście skierowanym do nich fundator pisał o swoim głębokim zainteresowaniu eksperymentami z zakresu fizjologii oraz problematyką starzenia się i umierania.



NOBEL'S INTEREST IN EXPERIMENTAL MEDICINE

In 1894, Alfred Nobel donated a considerable sum to the Russian physiologist Ivan Pavlov[23] (fig. 99) and his colleague, Marceli Nencki (fig. 100), professor of medical chemistry in St. Petersburg, for the benefit of their laboratories.

In his letter accompanying the gift, Nobel described his profound interest in physiological experiments and his special interest in the problems of ageing and dying. His interest in experimental medical research is further evidenced by the temporary detachment of his young private assistant and personal friend, Ragnar Sohlman[24], who on Nobel's instructions travelled to Stockholm in the summer of 1895 to supervise chemical analysis of urine samples from patients with various ailments such as fever of unknown cause, kidney disease and syphilis. The urine samples, collected from patients at the St Göran hospital in Stockholm, were sent for laboratory tests through the mediation of Professor Axel Key.

100
Marceli Nencki

Alfred Nobel finansował badania Nenckiego i Pawłowa

Nasz uczony był nie tylko teoretykiem, ale dążył do tego, aby wyniki jego badań mogły mieć zastosowane w praktyce. Między innymi w znacznym stopniu przyczynił się do zwalczenia wielu chorób zakaźnych, w tym epidemii cholery. Stworzył także szczepionkę przeciwko atakującej bydło epidemii dżumy i księgosuszu. Prowadzenie badań nad tymi specyfikami wiązało się z koniecznością wyjazdów w głąb Rosji – na Kaukaz i do Kraju Zabajkalskiego. Jak wyglądała taka praca w terenie? Nencki pisał w liście do żony:

> Mam na głowie ponad 300 sztuk bydła, w tym 40 sztuk bawołów i wielbłądów – prawdziwych czworonogów – wobec 30 osób personelu, około 10 lekarzy weterynarii oraz zmęczonych i rozdrażnionych asystentów. To wszystko w porządku i harmonii utrzymać, zaopatrzyć i w stosunku do każdego być sprawiedliwym i przyjacielskim – jest niemałą sztuką.

Nie było więc łatwo, ale dzięki jego pracy w ciągu kilku lat zostały opanowane epidemie powodujące śmierć setek tysięcy zwierząt. Rosja miała za co być mu wdzięczna.

W 1897 r. zorganizowano obchody 25-lecia pracy naukowej Marcelego Nenckiego. Został członkiem honorowym Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego i Towarzystw

Lekarskich w Wilnie, Krakowie i Lwowie, a władze rosyjskie nadały mu tytuł… generała. Nencki podziękował za przyznane wyróżnienie i jednocześnie wystąpił z pisemną prośbą, aby zwolniono go z konieczności noszenia munduru generalskiego i orderów.

Tęsknił do kraju, często spędzał wakacje w Boczkach. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że pracując w dużych, dobrze wyposażonych ośrodkach naukowych ma większe możliwości rozwoju. Otrzymywał propozycje objęcia katedry farmakologii i farmakognozji, a także chemii na Uniwersytecie Jagiellońskim, potem oferowano mu pracę na Uniwersytecie Lwowskim, jednak z różnych przyczyn nie zdecydował się na to.

Gdyby dane mu było żyć dłużej, być może wróciłby do kraju. Był w pełni sił twórczych, kiedy zaatakował go rak żołądka. Być może do rozwoju tej choroby w jakiś sposób przyczynił się intensywny, wyczerpujący tryb życia jaki uczony prowadził. Zmarł w wieku 54 lat, 14 października 1901r. Został pochowany na cmentarzu ewangelicko-reformowanym w Warszawie.

PATRON INSTYTUTU BIOLOGII DOŚWIADCZALNEJ

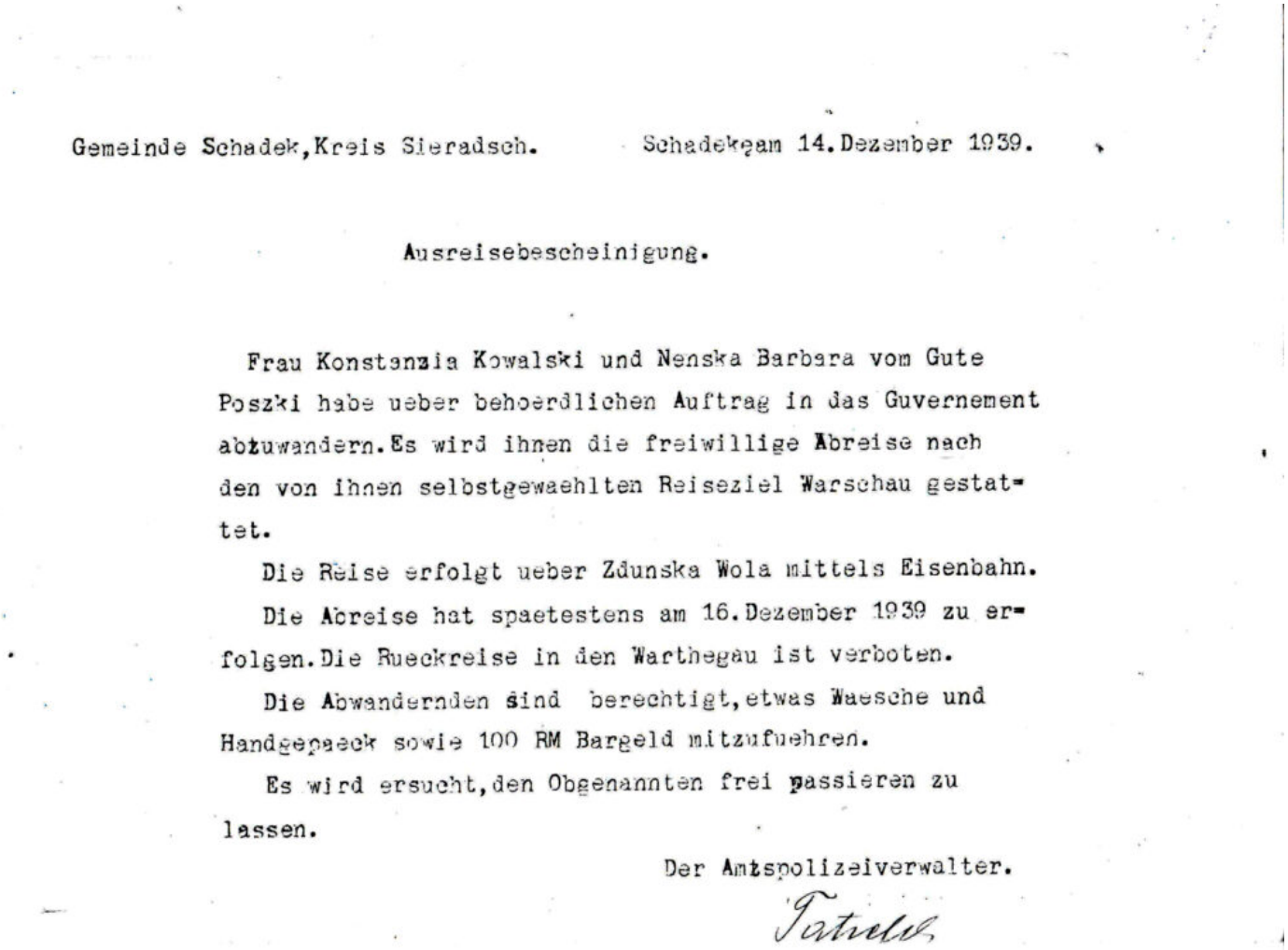
Katedrę Chemii w Petersburgu objęła po nim Nadia Sieber – Szumowa. Ona też ofiarowała w 1909 r. 50 tysięcy rubli na utworzenie Instytutu Biologii Doświadczalnej im. Marcelego

Nenckiego w Warszawie. Ideę tę zrealizowano dopiero po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. Pierwszym dyrektorem Instytutu był prof. Kazimierz Białaszewicz, pod jego kierownictwem powstała wiodąca placówka biologiczna w kraju. W jej skład wchodziły: Zakład Fizjologii, Zakład Biologii Ogólnej i Zakład Neurobiologii. W latach dwudziestych utworzono Zakłady Embriologii Doświadczalnej, Morfologii i Biometrii. Powstała także sieć ośrodków terenowych: Stacja Hydrobiologiczna na jeziorze Wigry, Stacja Morska na Helu i Stacja Rzeczna w Pińsku. W okresie wojny Instytut poniósł ogromne straty, zginęło wielu jego pracowników. W latach 50. otrzymał nową siedzibę przy ul. Pasteura 3 w Warszawie i został włączony w struktury Polskiej Akademii Nauk. Obecnie pracuje w nim około 300 osób.

Marceli Nencki zostawił po sobie w sumie 173 prace z wielu dziedzin: chemii organicznej, fizjologicznej i lekarskiej, a także bakteriologii i epidemiologii. Dorobek naukowy jego życia został opublikowany w języku niemieckim pod tytułem „Opera omnia” w 1904 r. w Braunschweig (Brunszwiku). O tym, że jego osiągnięcia są cenione do dziś, świadczyć może fakt, że w 2011 r. nakładem wydawnictwa Nobel Press ukazało się wznowienie wersji niemieckiej oraz wersja włoska jego dzieła. Niestety, do tej pory nie ukazało się wydanie polskie. O poziomie jego dokonań najlepiej świadczy fakt, że mimo ogromnego postępu w dziedzinach, którymi się zajmował, jego prace są do dziś

cytowane w literaturze światowej.

W 1904 r. Iwan Pawłow otrzymał Nagrodę Nobla (ustanowioną trzy lata wcześniej – w roku śmierci Marcelego Nenckiego). Być może, gdyby żył, otrzymałby ją także nasz uczony. Nencki współpracował przecież z Pawłowem, dopomógł mu także w publikacji jego prac na zachodzie Europy.



Gemeinde Schadek,Kreis Sieradsch. Schadekęam 14.Dezember 1939.

Ausreisebescheinigung.

Frau Konstanzia Kowalski und Nenska Barbara vom Gute Poszki habe ueber behoerdlichen Auftrag in das Guvernement abzuwandern.Es wird ihnen die freiwillige Abreise nach den von ihnen selbstgewaehlten Reiseziel Warschau gestattet.

Die Reise erfolgt ueber Zdunska Wola mittels Eisenbahn.

Die Abreise hat spaetestens am 16.Dezember 1939 zu erfolgen.Die Rueckreise in den Warthegau ist verboten.

Die Abwandernden sind berechtigt,etwas Waesche und Handgepaeck sowie 100 RM Bargeld mitzufuehren.

Es wird ersucht,den Obgenannten frei passieren zu lassen.

Der Amtspolizeiverwalter.

Na podstawie tego dokumentu wysiedlono rodzinę Nenckich z Boczek

WYSIEDLENI

Brat Marcelego, Leon po studiach w Niemczech i Szwajcarii był przez wiele lat ordynatorem oddziału wewnętrznego szpitala św. Ducha w Warszawie. Zmarł w 1904 r. W trzy lata później odszedł z tego świata kolejny z braci – mieszkający w Boczkach Adam Nencki. Jego syn, również Adam (to bardzo często występujące imię w tej rodzinie) był m.in. współzałożycielem i prezesem Kółka Rolniczego w Szadku. W 1924 r. podjął próbę (wtedy jeszcze nieudaną) utworzenia banku spółdzielczego w tym mieście.

Na początku II wojny Nenccy musieli opuścić rodową posiadłość. W archiwum rodzinnym zachował się pisany po niemiecku dokument, na podstawie którego dokonano wysiedlenia. Jest w nim mowa o tym, że Barbara Kowalska i Barbara Nencka muszą opuścić Boczki i wyjechać do Generalnej Guberni do dnia 16.12.1939 r. Mogły zabrać ze sobą bagaż podręczny i 100 marek. Część wyposażenia dworu przekazały na przechowanie służbie. Wyjechały do majątku Adama Nenckiego w Zgórznicy koło Stoczka Łukowskiego. W tamtejszym dworze przez cały okres wojny bardzo aktywnie działała komórka Armii Krajowej. Niektórzy członkowie rodziny przypłacili to życiem.

W 1950 r. zabrano Nenckim majątek w Zgórznicy. Okazało się, że nie mogą też wrócić do swojej siedziby rodowej w Boczkach – ich dawni pracownicy oddali im wtedy przechowywane u siebie książki, obrazy i inne przedmioty. Dzisiaj należą one do Katarzyny Markiewicz. To jej mama, Barbara Nencka w 1939 r.

musiała na zawsze opuścić Boczki. Pani Katarzyna czyni starania o odzyskanie tego, co zostało z rodzinnych włości. Szkoda jej starego, pięknego niszczejącego parku, o który nikt nie dba. Marzy także choć o tym, aby w Boczkach została w jakiś sposób upamiętniona historia rodu Nenckich, a zwłaszcza najwybitniejszego z nich, Marcelego.



Herb rodu Nenckich Lubicz

Dziadek Władysław



Fot. S. Hermann i F. Richter z Pixabay

Romuald Mieczkowski *(Wilno)*

Po tym, jak zostawił tu dorobek życia, ociągał się z przyjazdem do stron swojego dzieciństwa, młodości, wieku dojrzałego, pełnego załamanych nagle planów. Człowiek nieposkromionej natury, a jednocześnie napiętnowany chłodnym praktycyzmem, wyciągał wnioski z kolców życia, nie poddając się słabościom losu.

Młode lata upłynęły w buntowniczym przekonaniu, że jak najszybciej trzeba zmienić świat. Gdy tego nie dało się zrobić, postanowił otoczyć go swoją wyrozumiałością i miłością. Tym tylko można tłumaczyć decyzję studiów w seminarium duchownym.

Nie trwało to długo. Po dwóch latach wezwano jego ojca, by poradzić:

– Niech będzie dobrym człowiekiem, skoro są wątpliwości co do jego kapłańskiego powołania…

Podobno przyczyną była namiętna gra w karty, brak pokory w zgłębieniu tajników wiary i nieobojętność wobec płci pięknej. Legenda lokalna głosi, że kroplę cierpliwości dopełniła drzemka na cmentarzu, gdy inni klerykowie uczestniczyli w nabożeństwie żałobnym…

Parę lat wytężonej pracy na piaszczystej, nieurodzajnej ziemi wileńskiej pozwoliło wyciągnąć wnioski – rola dla szczupłego młodzieńca, z manierami, oczytanego i pracującego w rękawiczkach – nie była celem ostatecznym. Zaczął robić interesy. Po latach do niego należał młyn, dwa wyszynki za Zielonym Mostem, zbudował w Fabianiszkach najokazalszy dom. Tych interesów było tak dużo i cechowała je tak duża różnorodność, że nikt nie mógł się połapać, czym aktualnie Władysław Mieczkowski się zajmuje.

Wojnę udało się jakoś przetrwać, gorzej było po przyjściu Sowietów. Kilka lat spędził w łagrze w Donbasie. Choć postury był wątłej, to wytrwał – racjonalnie traktując byt łagiernika – nie palił, potrafił zachować niezbędną w takich sytuacjach

równowagę wewnętrzną.

Z Donbasu do Wilna nie wrócił. Bo i nie miał po co. Dom został skonfiskowany, gdyż był "za duży" jak na czasy budowania socjalizmu, o innych majętnościach nie było mowy. Osiadł w Szczecinie, ze zmiennym szczęściem zmieniając zajęcia, ale i tu panował nad sobą i swymi interesami.

Do Wilna przyjechał jeden raz, na początku lat siedemdziesiątych. Już dawno nie żył jego brat, a nasz dziadek. Z ojcem wspominali dawne czasy, ludzi, których nie było. Chodziliśmy na spacery po mieście, odwiedzaliśmy razem krewnych i znajomych. Dziwił się, że tak dużo u nas ludzie teraz piją wódki.

Dostawszy pięć rubli od rodziców na wydatki, moj brat – Władysław-junior – wtedy uczeń, zaprosił dziadka Władysława (nigdy nie nazywaliśmy go stryjem) na lody. Do jadłodajni niedaleko Poczty, przy dzisiejszej Alei Giedymina. Teraz mieści się tam wykwintna restauracja, wtedy była to "trochę porządniejsza" stołówka – z kawą i deserami. Chyba zjedliby tutaj swe lody, gdyby dziadek raptownie nie zbladł i nie wyciągnął chłopca na ulicę.

– A teraz ja ciebie zapraszam, tylko w inne miejsce! – powiedział pośpiesznie.

Kiedy siedzieli w pobliskiej “Literackiej”, urażony brat zapytał, dlaczego dziadek nie skorzystał z jego zaproszenia.

– Kochany, lody możemy zjeść wszędzie, wcale nie jestem taki kapryśny. Nie mogłem znieść dźwięku aluminiowych naczyń, które tam były. I opowiedział, że to mu przypomniało Donbas i szajby*, z których wygłodniali więźniowie resztkami człowieczeństwa wygrzebywali resztki bałandy**.

---

*szajba** (ros. z żargonu więziennego) – metalowa (aluminiowa) miska.

*bałanda*** (ros. z żargonu więziennego) – więzienna polewka.

Zobacz też:

> Staruszka z Zamkowej 42

> Objazdowe kino

Klamki mojego domu

Szkoła po sąsiedzku

Wojciech Antoni Sobczyński – dialog z kompozycyjnymi przemyśleniami

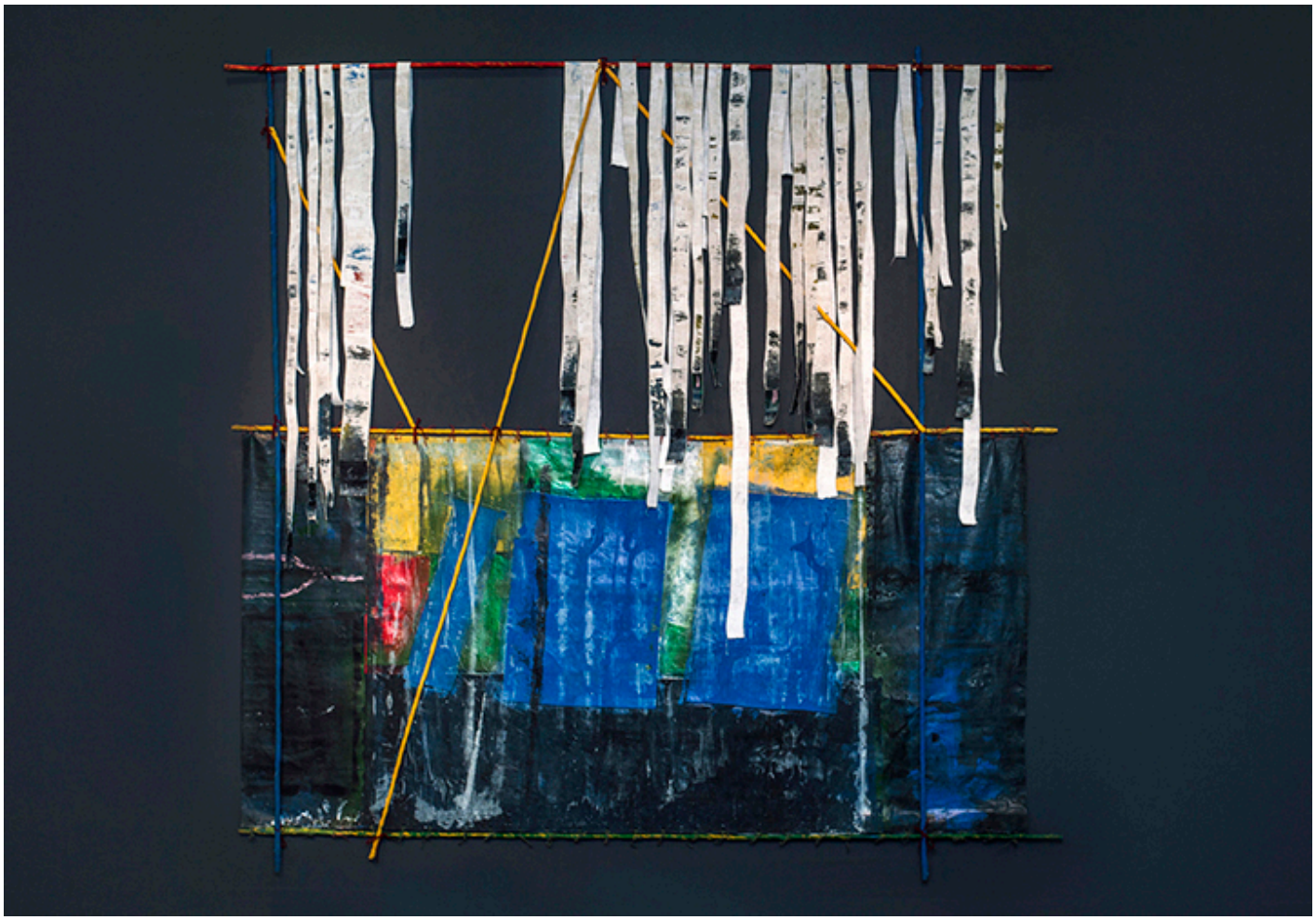


Wojciech Antoni Sobczyński, 2018 r. z wystawy, Krak, ale nie Cocaine

Ukończył wydział rzeźby na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie pod kierunkiem prof. Jacka Pugeta. Stypendium Barbary Robertson pozwoliło mu kontynuować studia w Wielkiej Brytanii. Początkowo na *City and Guild's of London – Art School*, a następnie na *Slade School of Art – University College London* pod kierunkiem prof. Reg Butlera.

Od 1968 mieszka w Londynie. Jest rzeźbiarzem, który wkroczył

na teren malarstwa i łączy bez wahania obydwie domeny w indywidualny sposób. Brał udział w wystawach zbiorowych i indywidualnych. Jego prace są częścią prywatnych kolekcji w Wielkiej Brytanii, Francji, Włoszech, Japonii, Polsce i USA. W rezultacie niedawnej wystawy p.t. „PromienioTwórczość” praca zatytułowana „Inversion” weszła do kolekcji Centrum Sztuki Współczesnej „Znaki Czasu”, w Toruniu. Jest także założycielem grupy artystycznej Page 6.



WAS 2016, High jump, z wystawy w Centre for Contemporary Arts, Toruń

W 2015 jego twórczość stała się tematem, pracy magisterskiej

Ewy Sobczyk, opublikowanej pod kierunkiem prof. dr hab. Jana Wiktora Sienkiewicza kierującego Katedą Historii Sztuki i Kultury Polskiej na Emigracji, Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Wojciech Antoni Sobczyński jest także dziennikarzem, recenzentem i komentatorem. W ostatniej dekadzie współpracował z londyńskim czasopismem „Nowy Czas”. Od trzech lat jest londyńskim korespondentem wrocławskiego magazynu „FORMAT”, publikowanego pod auspicjami Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu. W końcu 2020 r. nawiązał współpracę z krakowskim magazynem „Hybryda”, wydawanym przez towarzystwo POLART.

GALERIA



WAS 2019, Gate of history, mixed materials, collection of RS



WAS 2020, Gateway to nowhere,
h47x38 cm



WAS 2019, Staccato, acrylics on cotton, h87x135 cm

Podczas pierwszego etapu pandemii pracowałem nad dwoma cyklami. Pierwszy – „24 isolations" inspirowany był muzycznymi utworami, które rozważają aspekty tonalnych możliwości (np. 24 preludia Chopina, czy podobne rozważania Bacha). Są to prace z przeznaczeniem na ścianę, ale nie są one płaskie (WAS).



WAS 2020, 24 24 Isolations

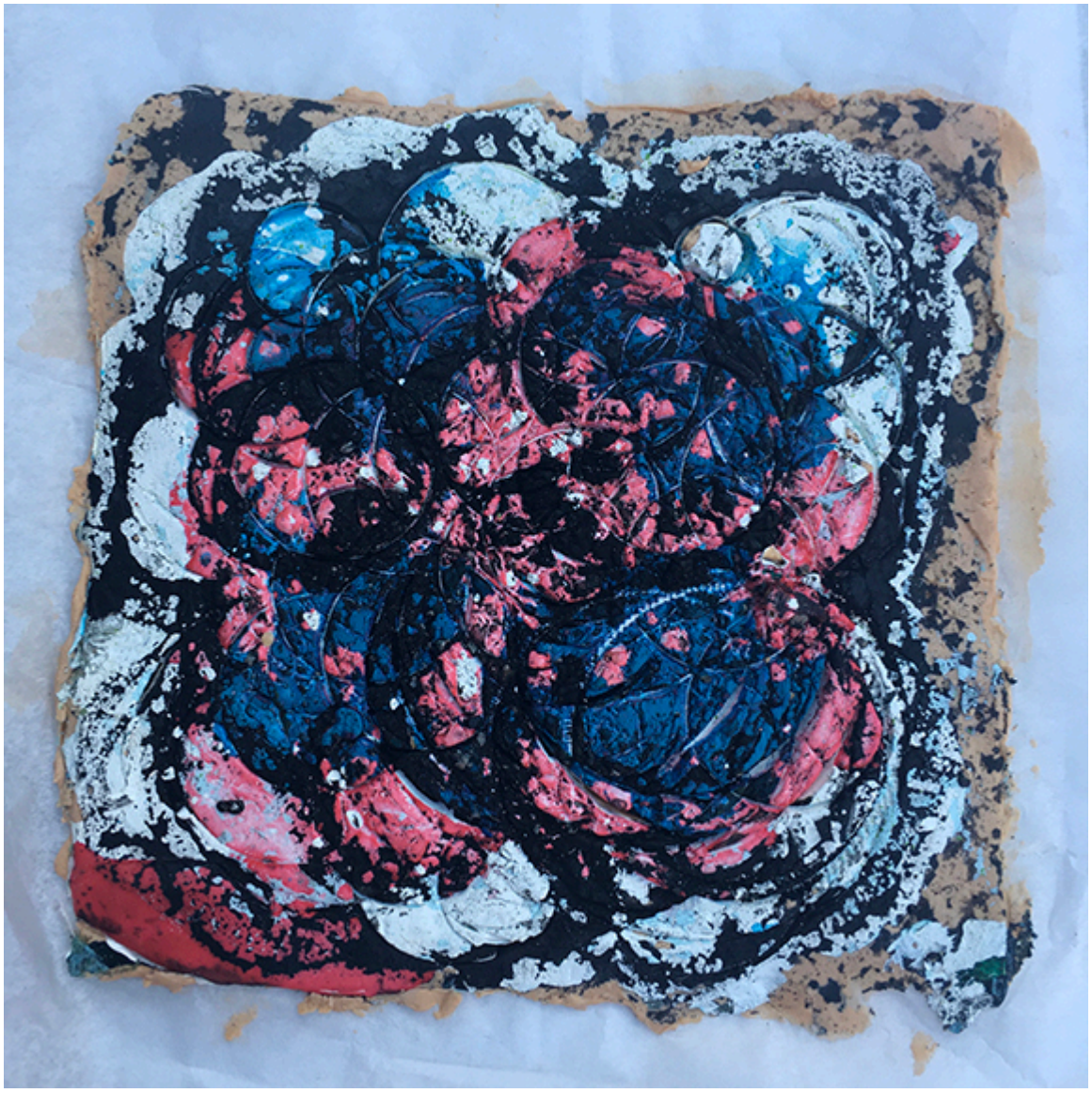


WAS 2020, 13 24 Isolations

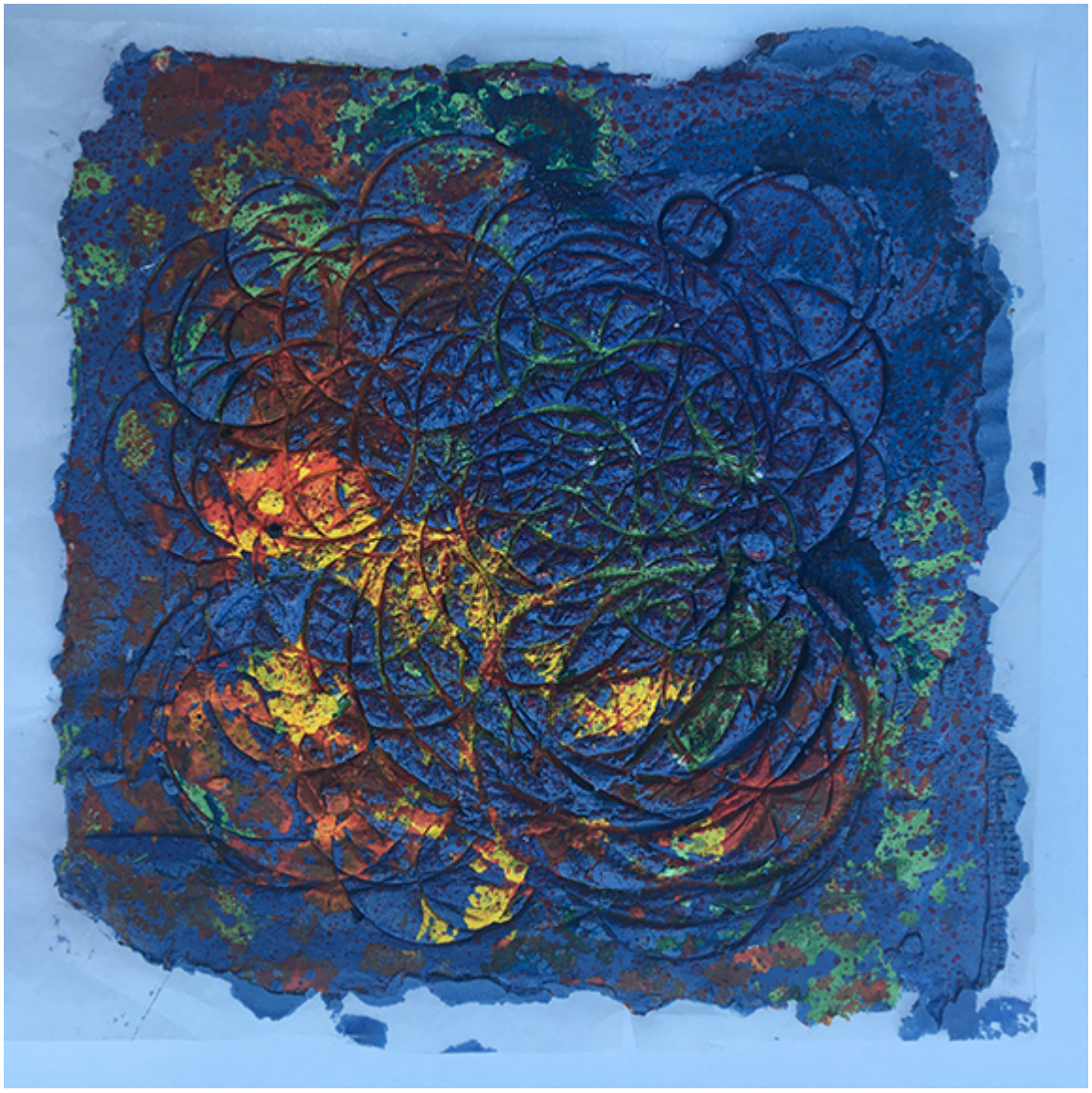


WAS 2020, 13 24 Isolations, detail

Równolegle z tą serią wykonałem 18 prac o wspólnym, też zapożyczonym z muzyki temacie „Bagatele” (WAS).



WAS 2020, Bagatelle x 2



WAS 2020, Bagatelle x 3



WAS 2020, Bagatelle x 4



WAS 2018-20, Witnesses, acrylics on cotton, h122x152 cm

Ostatnio powstałe trzy prace otwierają nowy wątek. W myślach widzę postacie, które nazywam „Świadkowie”. Są one początkiem nowego cyklu/Opusu. W rzeczywistości nie są to realistyczne postacie, lecz tylko kolorowe piony, które stoją dzięki współdziałającej konstrukcji. Malowane są na wydartych pasach materiału. Sam mechaniczny akt wydarcia ma dla mnie bardzo dużo ukrytej treści, która jest zaczerpnięta z głębokiej podświadomości (WAS).



WAS 2020, Blue Witness, h151 cm



WAS 2020, Green Witness, mixed tech., h132 cm



WAS 2020, Witness 3, mixed tech., h148 cm

Z cyklu „Świadkowie”
Zrobiłem też kilka prac bardziej opisowych, które są kontynuacją serii o nazwie „Catwalk Figures”. Robię te prace trochę jako odpoczynek, improwizując w mieszanych technikach i małym formacie (WAS).



WAS 2020, Andromeda visitation, Catwalk Figures



WAS 2020, detail



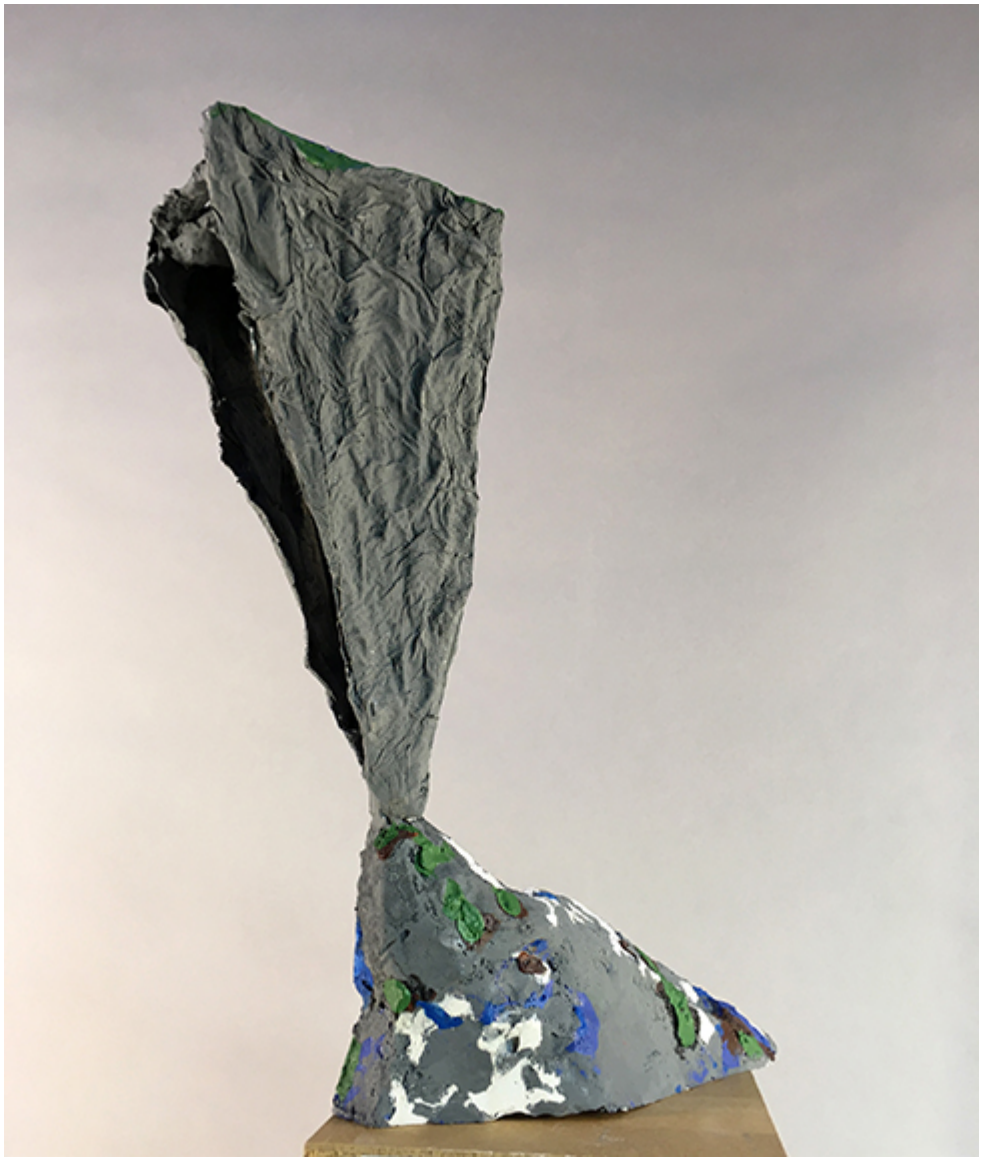
WAS 2021, Shall we dance, mixed tech.
36 cm



WAS 2021, Shell we dance (recto)



WAS 2021, Hollow, mixed materials, h28 cm



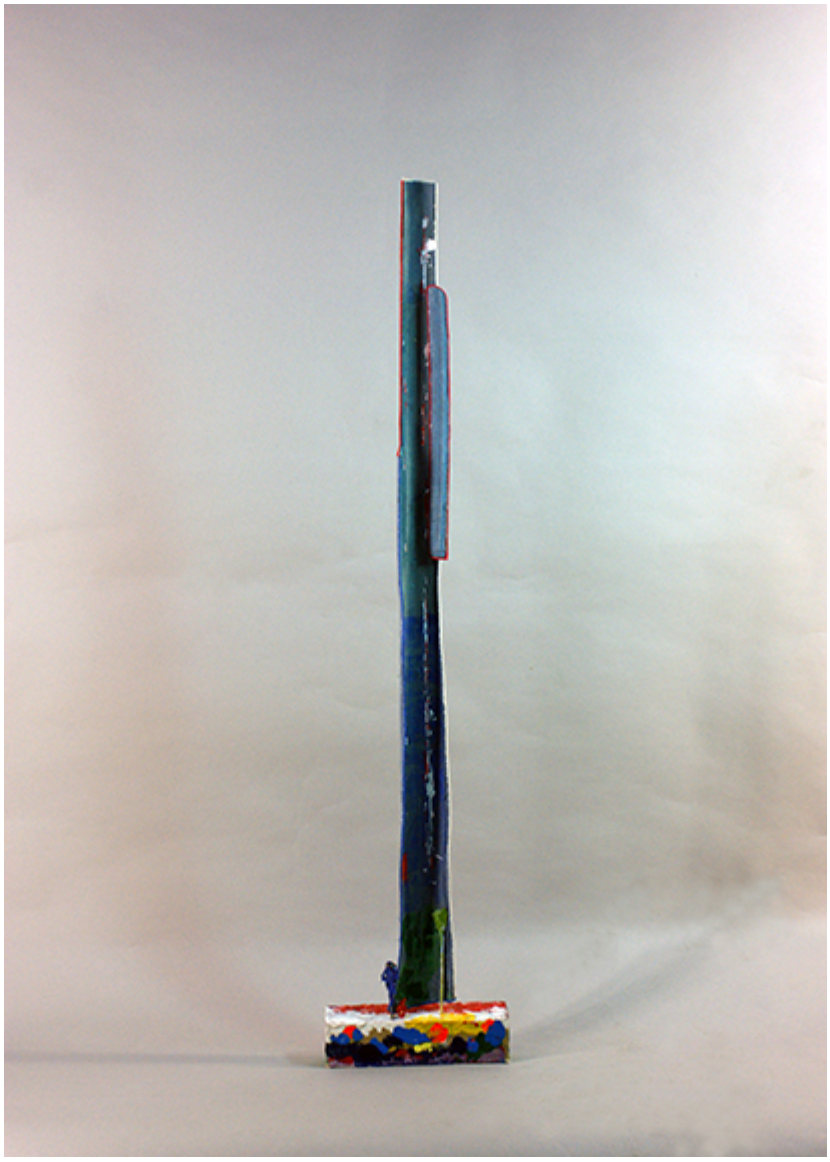
WAS 2021, Hollow (side view)



WAS 2020, Ajcarran, mixed tech., 39x19x9 cm



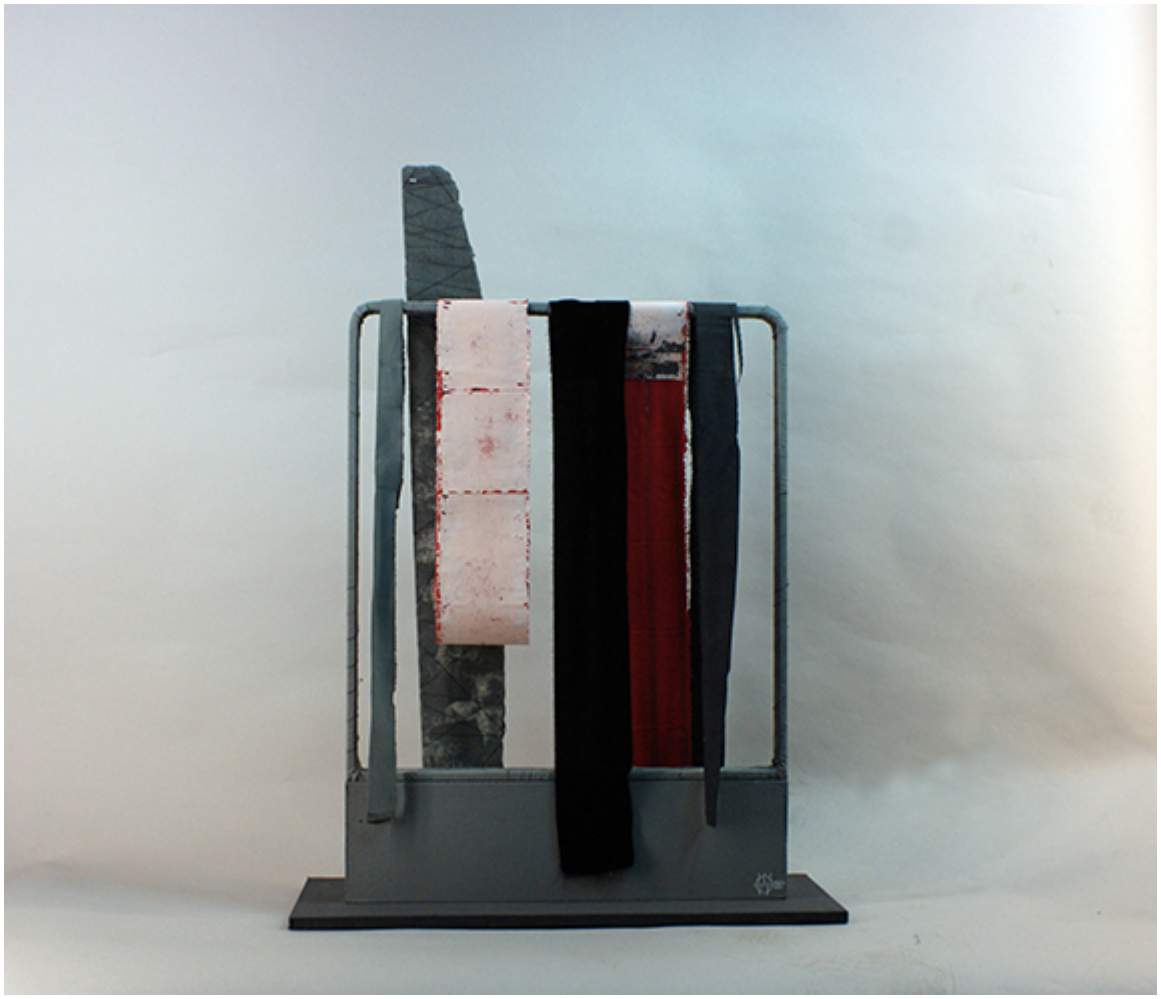
WAS 2017-19, Leaning,
textiles and pigments



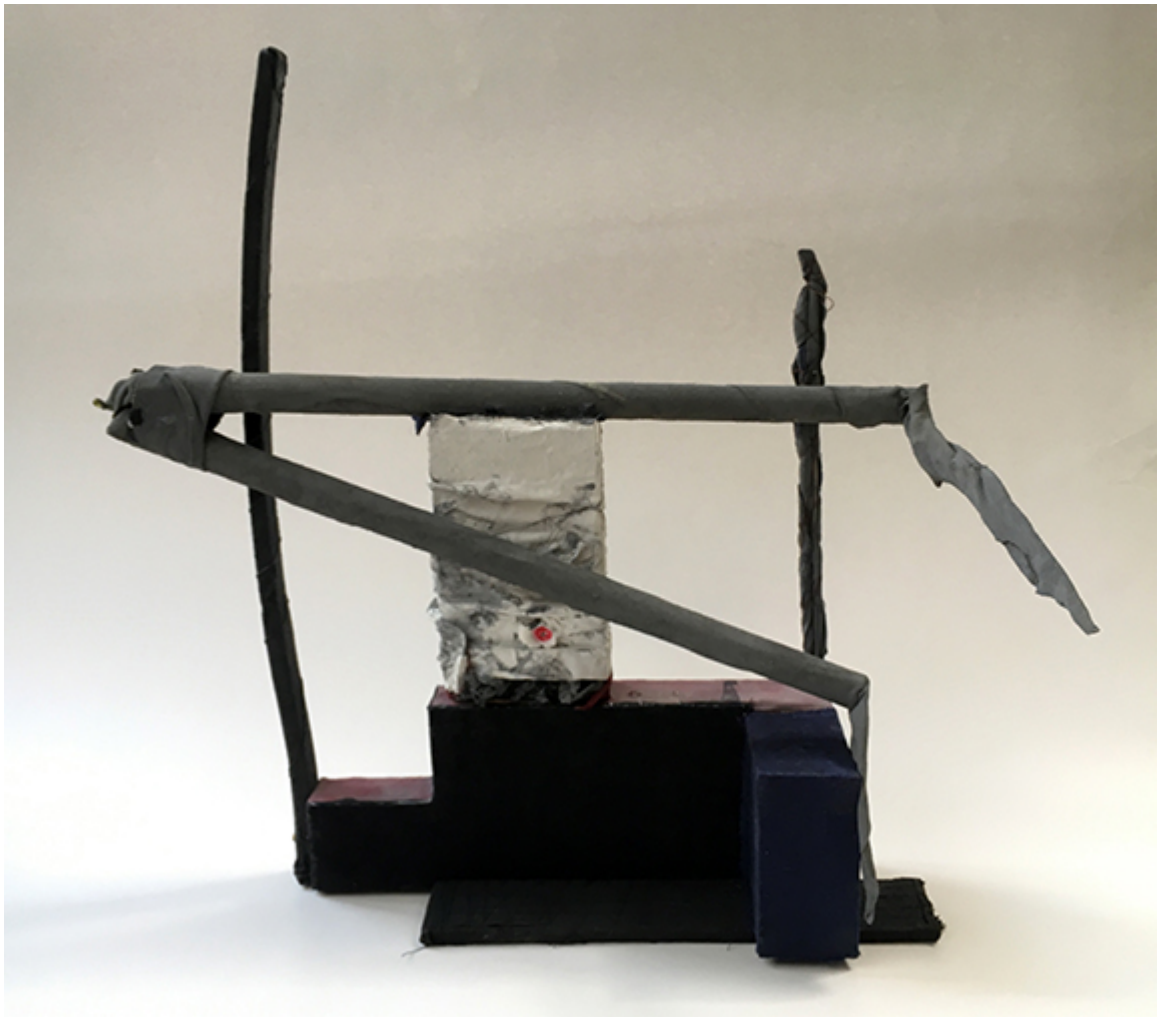
WAS 2019, Czy pamiętasz – dla Ewy Demarczyk, h113 cm



WAS 2019, Czy pamiętasz (detail)



WAS 2020, Remember, mixed tech.



WAS 2018 08, Pomnik pogwałconych praw, technika mieszana, 42x40x21



WAS 2016, Inside, acrylics on cotton and wood



WAS 2017, Inversion, acrylics on cotton and wood

Najchętniej pokazuję prace, które powstały ostatnio. One reprezentują moje bieżące myśli i poszukiwania. Staram się rozwijać swoją drogę i prowadzić dialog z własnymi kompozycyjnymi przemyśleniami (WAS).



Wojciech Antoni Sobczyński w swojej pracowni
WAS – Wojciech Antoni Sobczyński

Zobacz też:

> Polska myśl artystyczna poza krajem

Polska sztuka na emigracji

Adam Lizakowski – sześć wierszy o Chicago



Adam Lizakowski z tomikiem p.t. „Jak Zdobyto Dziki Zachód”, fot. arch. autora

Adam Lizakowski – polsko-amerykański poeta, prozaik, tłumacz poezji amerykańskiej, m.in., (Bob Dylan, William Carlos Williams, Louise Glück, Walt Whitman). Laureat Międzynarodowego Konkursu p.t. „Zachodnie losy Polaków” im. gen. Stanisława Maczka (1996). Laureat Międzynarodowej Nagrody Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich (Canada, 2000), nagrody Polskiego Komitetu ds. UNESCO, Ministra Kultury (2008). Studiował na *Columbia College Chicago – creative writing*, gdzie uzyskał tytuł *Bachelor of Arts*. (Studia ukończył z wyróżnieniem *Cum Laude*). Na *Northwestern University* otrzymał tytuł magistra – *Master of Arts*. Jest autorem ponad tuzina książek

poetykich m.in. *Chicago Miasto Wiary (*1998), *Złodzieje czereśni* (1990) r. Najnowszy tomik p.t. *Jak Zdobyto Dziki Zachód* wydał w 2017 roku w Poznaniu.

Czytałem

czytałem o ludziach którzy

gdy kończą jeść śniadanie

są o kilka milionów bogatsi

niż wtedy gdy jeść zaczynali

a ja

przy moim śniadaniu śpiewam

pierwszą kromką chleba

łykiem herbaty

margaryną dwoma jajkami na twardo

śpiewam

i dziękuję bogu za pokarm

śpiewam

i dziękuję reaganowi za social

śpiewam i dziękuję

że jestem najedzony

i kilka centów biedniejszy

Piszę

piszę do ciebie

bo chciałem jeszcze raz udowodnić ci

że żyję oddycham myślę o tobie

piszę do ciebie

dlatego, że potrzebuję pogadać z tobą

o wspólnym łóżku

wspólnej przyszłości

kocu śniadaniu książce

piszę do ciebie bo chcę

zatańczyć z tobą

walca kanibalistycznego

a także abyś wiedziała

że nie potrafię odróżnić

zimy od lata

mędrca od głupca

źródła od zlewiska

nie potrafię bez bólu w oczach

ślinić znaczek pocztowy

z portretem Waszyngtona

z nadrukiem united states

Czasem

czasem spotkam Amerykanina

który mnie się pyta skąd się tutaj wziąłem

kiedy wracam do kraju swojego

nie rozumie jaka jest tego przyczyna

kiedy nie chcę z nim długo rozmawiać

niechętnie tłumaczę swoje przybycie

bo nie jestem mądrym Sokratesem ateńskiego rynku

nie potrafię otwierać oczy które widzą

nie potrafię przywracać słuchu tym co słyszą

ja nie wybierałem wolności była mi dana

nie wybierałem religii była mi dana

nie wybierałem ojczyzny była mi dana

nie jestem magikiem co gołębie

wyjmuje z kapelusza

co swoimi sztuczkami wokół siebie gromadzi

dzieciarnię i kobiety

ja jestem tutaj jak ta jaskółka

co wiosnę zwiastuje

Wiosna w Chicago

początkiem kwietnia

szare niebo słońce drzewa

ulice ludzie ziemia

myślą

– skończy się zima czy nie?

ofiary zimy

odrapane domy koślawe chodniki

krwią rdzy poplamione latarnie

brudne wystawy sklepowe

jeszcze nie liżą swych ran

w nocy padał ciepły deszcz

była burza z błyskawicami

ucieszyło to drzewa

– to dobrze że padało – stwierdziła

gruba kobieta o mocnej szczęce

stojąca na rogu ulic Milwaukee i Drake

koleżanka jej o długiej bocianiej szyi

gorąco mówiła o wiośnie

– trzeba pomyśleć o odlocie –

powiedziała t o cicho i czule

a w głosie jej słychać było

start samolotów pędzących pociągów

dzwonów kościelnych ludzi

ponad którymi delikatnie

płynęły niebieskie chusteczki chmur

a ryba –ptak nurkował

Majowe popołudnie w Chicago

popołudniem na ulicy Fullerton

kobiety z wystawionymi głowami przez okno

wyglądają jak gdaczące kury na grzędach

radio głośno gra latynoskie melodie

starsze dziewczyny tańczą na chodniku

podnoszą stopy z super lekkością

spadają na ziemię z gracją liścia

chłopcy rzucają piłką w kształcie jaja

włosy wiosny zielona trawa

niczym agent innego świata

spiskuje w grupkach

w szczelinach chodnika

kreole z wysp bananowych

siedzą na stopniach domów

popijają piwo, rozmawiają ze sobą

po hiszpańsku i angielsku

wybuchają kaskadami śmiechu

ramionami obejmują się, ściskają

śmieją się głośno i naturalnie

śmiech jak moneta szczerozłota

dźwięczy turlając się po ulicy

nikt z nich nie zauważy

ziarnka zmierzchu koloru kawy

dojrzewającego nad powierzchnią

liścia jeziora Michigan

Wydawca pisma polonijnego

wydawca polonijnego pisma

skrzyżowanie połykacza ognia

z cudotwórcą mówi:

czy pan myśli, że ja

wierszy nie lubię?

lubię, ale kto dziś czyta

poezję

prędzej pan kijem Wisłę

zawrócisz

niż kiełbasiarz da reklamę

do gazety

gdzie wiersze drukują

prędzej Bałtyk wyschnie

niż adwokat da reklamę

do gazety gdzie wiersze

drukują

panie, jak nie dam nagiej panienki

na okładkę

nikt na gazetę nie spojrzy!!!

magistry, inżyniery,

lekarze, dentyści, właściciele

firm polonijnych, agencje pracy

ubezpieczeniowe, sprzedawcy domów

biura podróży, czyli tak zwana

polonijna inteligencja

to hołota

w ogóle nie kupują prasy

panie mówienie o wierszach

to kwadratura koła

liczenie ile diabłów zmieści się

na końcu szpilki

walenie się młotem w głowę

i mówienie że po każdym

uderzeniu jestem mądrzejszy

tak mi powiedział fachowiec

od polonijnej prasy

> w Chicago
>
> któremu jeszcze w Polsce
>
> ZOMO
>
> wybiło ząb mądrości

Film Thomasa Maslowskiego ze spotkania z poetą w Druch Studio & Gallery w Trenton, NJ w 2010 r.:

Zobacz też:

> Prywatna, czyli…społeczna. O Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich.

> Heroizm życiowych wyborów. Wspomnienie o Nelli Turzańskiej-Szymborskiej.

Pomiędzy dziennikarstwem a poezją

Z poetką, pisarką i dziennikarką, Barbarą Gruszką-Zych – rozmawia Joanna Sokołowska- Gwizdka



Barbara Gruszka-Zych, fot. arch. BG-Z

W grudniu 2020 r. wyszedł Twój najnowszy tomik „Mój cukiereczek”. Powstał z wierszy pisanych podczas pandemii. Czy tak?

W początkach pandemii pisanie wierszy stało się dla mnie codziennym rytuałem. Ze względu na obostrzenia pracuję zdalnie, mniej jest wyjazdów w teren. Prawie codziennie rano, jak nigdy dotąd od kilkudziesięciu lat, mogłam zostać w domu. Robiłam sobie kawę z kardamonem, świeżo mielonym, jak mi

kiedyś w Wiedniu radziła Ewa Lipska, i siadałam, czekając aż przyjdzie wiersz. Zapisuję teksty w telefonie, a więc domownicy pewnie myśleli, że z kimś koresponduję bądź serfuję w necie. Czasem nie musiałam wcale czekać i wiersze były natychmiastowym zapisem tego z czym się budziłam. Nieraz chciałam nimi coś krótko i treściwie opowiedzieć komuś konkretnemu, dać znać czym teraz żyję. Innym razem zapisywałam jakiś fragment i wracałam do niego po kilku dniach odkrywając, jak trafionym był punktem wyjścia. Jeszcze innym razem wiersz powstawał podczas spaceru polami za domem. Łatwo wyjąć komórkę i zapisać kilka słów jak jakiś esemes do siebie samej.

To samo zdarzało mi się podczas wakacyjnych wyjazdów w Bieszczady i do Półkot nad jezioro Berżnik koło Sejn. A także w chwilach trudnych kiedy ciężko zachorowali moja ciocia Gabi i wujek Jan, którym wtedy towarzyszyłam. Czasem przy ich łóżku szybko, bez większego namysłu, notowałam swoje emocje, niepokój i bezradność, które nie znajdowały innego ujścia. Każde miejsce jest dobre do pisania i trzeba z niego korzystać, bo inaczej szansa zostanie stracona. Teraz rozmawiam z Tobą na odległość, ale zdradzę, że jestem w wyjątkowym miejscu – klasztorze sióstr klarysek w Kętach. Za ścianą tego pokoju od 111 lat trwa wieczysta, nieprzerwana adoracja Najświętszego Sakramentu. W tym samym miejscu, w monstrancji ustawionej w gotyckim ołtarzu w niedużej kaplicy, w której czuję, że jest aż

gęsto od obecności Niewidzialnego. Pewnie te lata modlitw dziękczynnych, bo siostry podkreślają, że to adoracja dziękczynna, sprawiły, że przywoływany i wielbiony Bóg daje odczuć przebywającym, że prawie namacalnie jest. Dobrze by było skorzystać z tego *genius loci* i coś tutaj napisać. Pamiętam jak Czesław Miłosz pokazał mi swoje słynne kajety, które miał zawsze gdzieś blisko i zapisywał w nich to, co do niego przychodziło nawet w środku nocy, świadomy, że natchnienie nie wróci.

Czy pisanie było dla Ciebie terapią w tym trudnym okresie?

Jeśli tak na to patrzeć, każde pisanie jest pewnie terapią, bo oczyszcza z emocji i porządkuje je. Słowa, które znajdowałam, były dla mnie jakąś kotwicą, umocowaniem w czymś pewnym, czym niewątpliwie jest dla mnie literatura. To z niej, jak z wiary, czerpię siłę do życia, bo w dobrej literaturze można znaleźć podpowiedzi jak znaleźć jego sens. Mam nadzieję, że w moich wierszach też ktoś znajdzie coś dla siebie, jakąś nadzieję, bo o nią przecież chodzi.

Jesteś autorką ponad 20 tomików wierszy, które opowiadają nie tylko o Tobie, ale i o czasie, w którym przyszło nam żyć. Jako niezwykle wrażliwa poetka, wyłapujesz z rzeczywistości skrawki uczuć i przeżyć, aby z niuansów zbudować pomost pomiędzy „ja" lirycznym a

otaczającym światem. Jak pisze wiersze dziennikarka?

Dziennikarz jest nieustannie nastawiony na innych, słuchający z uwagą i oddaniem. Pisanie wierszy, jak mówił Czesław Miłosz, to egotystyczne zapatrzenie w siebie, a dziennikarstwo jest zwróceniem się w stronę drugiego. Ale nie jest tak do końca, bo kiedy przyglądam się uważnie tropom moich dziennikarskich pytań i dociekań, widzę, że wynikają one z mojej egoistycznej pobudki jaką jest chęć znalezienia odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Dziennikarstwo i pisanie wierszy można porównać do zapewniającego niezbędną równowagę stania na dwóch nogach. Ta jedna, dotykająca mocno ziemi, umożliwia mi kontakt z rzeczywistością i owocuje reportażami i wywiadami. Druga, zatrzymana gdzieś w powietrzu, próbująca unieść mnie do góry, obrazuje stan w jakim czasem się znajduję podczas pisania wierszy próbując przekroczyć granicę między tym, co rzeczywiste, a tym, co nierealne.

Czym jest dla Ciebie poezja?

O to pytałam tysiąc razy moich wybitnych rozmówców – poetów. Agnieszka Osiecka powiedziała, że moment powstania wiersza to strzał pistoletem w tył głowy. Ksiądz Janusz Stanisław Pasierb podobnie twierdził, że zapisanie wiersza jest możliwe kiedy poeta zgromadzi w sobie emocje, tak jak proch w lufie pistoletu, a sam zapis to chwila jego zagęszczenia, a potem wybuchu – po

niemiecku – dichtung. „Mój poeta” bo tak nazywałam Czesława Miłosza, mówił o dajmonionie, który szepce do ucha to, co w tej chwili jest najważniejsze. Bardzo podobało mi się to, co powiedział o pisaniu rosyjski poeta Jewgienij Riejn. Że to moment, kiedy kości zostały rzucone. Dla mnie pisanie wierszy jest okazją do zdziwienia tym, co mnie jeszcze zachwyca, a na szczęście – wciąż to się dzieje. Do zmierzenia się z przeczuciem co mnie tworzy poza ciałem, włosami i przeczuwaną, nigdy nie dającą się uchwycić duszą. Pisanie wierszy, to próba uchwycenia co z tego świata zewnętrznego zostaje w nas, a jednocześnie usilne poszukiwanie pociechy. Jak powiedziała mi kiedyś poetka Ewa Lipska: „Wierszyk jest poduszeczką, do której można się przytulić po okropnościach świata”. Pisanie przydaje się do zatrzymania,we wcale nie takich kruchych słowach, kruchych ludzi i wspomnień o nich, które czytelnicy, biorą potem za swoje. I takie spotkania są największym szczęściem piszącego.

Z doświadczenia wiem, że każdy rozmówca, z którym przeprowadzam wywiad, coś mi zostawiał, jakąś ważną życiową myśl, kierunek, w którym należy podążać, na coś mnie uwrażliwiał. Ty napisałaś biografie Czesława Miłosza, Wojciecha Kilara, czy też z wywiad rzekę z Krzysztofem i Elżbieta Zanussimi. Książki te powstały z przyjaźni, z wieloletnich kontaktów, byłaś ze swoimi bohaterami blisko. Czego się od nich nauczyłaś?

Zmarły kilka dni temu wybitny 92-letni lekarz prof. Franciszek Kokot, będący legendą polskiej medycyny, uczył, że trzeba szukać mistrzów. Bardzo mi się to spodobało, bo jestem tego samego zdania, wręcz całe życie poszukiwałam ludzi, którzy wiedzą więcej. Moje wywiady, książki wzięły się z zachwytu naukami moich nauczycieli życia. Właściwie każdy bohater mojej rozmowy jest kimś takim. Wspomniani przez Ciebie artyści wiele mi dali. Do pana Wojciecha Kilara chodziłam się nawracać i odzyskiwać spokój wewnętrzny, bo, pewnie ze względu na wielką wiarę, emanował nim.

Czesław Miłosz nauczył mnie, że bez względu na warunki i niedogodności życiowe, brak uznania dla twórczości i związane z tym poczucie osamotnienia, trzeba robić to, co jest naszym imperatywem. Jak on, kiedy przez 30 lat w Berkeley pisał do szuflady czy raczej dziupli starego dębu, mając niewielkie grono czytelników. Takie podejście do własnego dzieła ma sens, bo, jak mówił, dzięki konsekwentnej i nie rozpraszanej aplauzem pracy, nasze pisanie nabierze głębi, będzie takie, jakim w tzw. sprzyjających okolicznościach nie mogło by się stać. – *Czy gdybym powiedział, żeby pani przestała pisać, posłuchałaby mnie pani?* – zapytał kiedyś. Opowiedziałam zdecydowanie, że nie. Ucieszył się: – *Tak powinno być, tylko takie podejście ma sens.*

Elżbieta Zanussi nauczyła mnie bezkompromisowości w mówieniu o wierze i prawdzie, jaką jest w jej życiu Jezus

Chrystus. Od jej męża Krzysztofa otrzymałam potwierdzenie jak ważna w przyjaźni jest wierność. Właściwie mogłabym jeszcze wiele tych nauk przypomnieć, bo wiedza jaką otrzymałam podczas rozmów jest ogromna. Co jednak nie znaczy, że z niej stale i umiejętnie korzystam…

Od 30 lat pracujesz w tygodniku „Gość Niedzielny", tam piszesz o ludziach, którzy żyją w zgodzie ze sobą i swoim sumieniem, poświęcają się dla bliskich, czy dla jakiejś idei. Tak pięknie piszesz o tych często prostych ludziach, a tak wielkich i heroicznych w swoich codziennych życiowych postawach. Którą spośród ludzkich historii szczególnie zapamiętałaś?

Za każdym razem jestem pod wielkim wrażeniem moich bohaterów. Gdyby się zastanowić, to bardzo wielu ludzi nie wywołanych do opowiadania, prowadzi takie piękne życie jak oni. Kilka dni temu byłam w Zakopanem u pana Kazimierza Gąsiennicy-Byrcyna, przez lata zawodowego, a dzisiaj honorowego ratownika tatrzańskiego, który zniósł z gór ponad tysiąc ludzi. Uratował im życie, a nie czuje się bohaterem, tylko przypomina, że ratownikiem zostaje się z wyboru, z pełną świadomością, że będzie się narażać życie. Z tych wielu dziennikarskich spotkań wracam do odwiedzin w domu pani Teresy Wojnar, która przez 24 godziny na dobę zajmuje się z oddaniem swoim niepełnosprawnym synkiem Jasiem. Kiedy

pierwszy raz weszliśmy do pokoju chorego Jasia z fotoreporterem Heńkiem, mieliśmy wrażenie, że powinniśmy tam klęknąć jak przed Najświętszym Sakramentem. Miłość jego mamy sprowadza Pana Boga na ziemię.

Jeździsz też za granicę, przeprowadzasz wywiady z wieloma ciekawymi ludźmi. Duże wrażenie zrobił na mnie Twój artykuł o szwedzkim nobliście z dziedziny literatury Tomasie Tranströmerze i rozmowa z jego żoną Moniką. Paraliż przeszkodził mu w pisaniu, ale nie zabrał nadziei i szczęścia. Na takich postawach powinniśmy się wzorować i wierzyć, że każda sytuacja jest po coś, czegoś nas uczy o nas samych. Czy też tak uważasz?

Oczywiście. Wizyta u państwa Tranströmerów, po śmierci poety, była dla mnie doświadczeniem ich ogromnej miłości. Przytoczę pierwszą część wiersza, który powstał na marginesie spotkania, a, mam nadzieję, wyraża kwintesencję tego co czułam:

> *1.* teraz wiem że w Sztokholmie byłam
>
> w jeszcze jednym kościele na piętrze
>
> trzecim do trzech razy sztuka

żeby poznać prawdę co czym jest

za którymi drzwiami otwierają się następne

prowadzące do pokoju poety

w którym siedział nie mogąc się poruszać

razem ze swoją żoną Monicą wtedy była ich jednym

chodzącym podającym kochającym ciałem

dzisiaj podaje mi prawdę o tamtych dniach

drżącymi ustami nadal ma piękną twarz

którą musiał podziwiać nawet w nocy

bo noce odkrywają każdy ukryty blask

którego w słońcu nie widać nadal go kocha

po przejściu z nim milion razy tego pokoju

i teraz kiedy go brakło chodzi w jego stronę

> po literach jego wierszy słodkim morzu
>
> łaskoczącym brzeg ich domu
>
> jak modlitwy progi kościołów

Jaki był dla Ciebie miniony rok, kiedy przyszło nam żyć w zamknięciu? Czy czegoś nowego się o sobie dowiedziałaś?

Że człowiek wiele przetrzyma… Po raz kolejny cieszyłam się jak to dobrze, że umiem pisać i czytać, bo dla tych, którzy to praktykują, zmiany w świecie zewnętrznym nie przynoszą drastycznych zmian we wnętrzu. Takie metamorfozy gwarantuje im raczej dobra lektura albo nagle przychodzący tekst. Dowiedziałam się też jak przepadam za moimi przyjaciółmi, znajomymi, jak bardzo kocham się z nimi spotykać…

O czym marzysz, co chciałabyś zrealizować w tym roku?

Marzę, żeby wybrać się w podróż z moimi przyjaciółmi. Polecieć z nimi na Marsa, no, może na księżyc… A tak na serio – po prostu pójść do knajpki na rynku w mojej Czeladzi, albo w Katowicach i gadać, a może – tańczyć – całą noc.

Zobacz też:

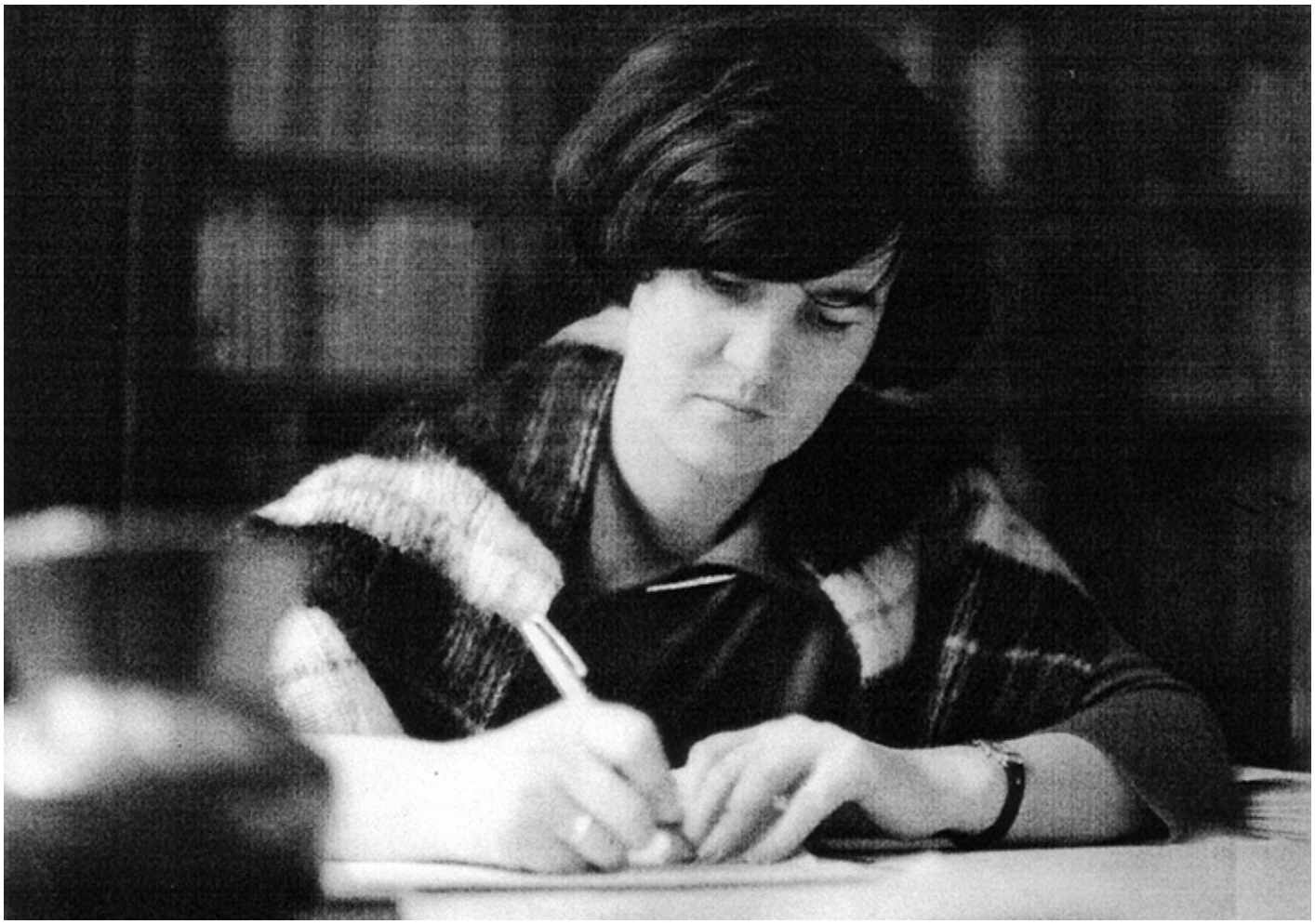
> „Mój cukiereczek” – nowy tomik wierszy Barbary Gruszki-Zych

> „Mój cukiereczek”. Kilka słów o najnowszym tomiku Barbary Gruszki-Zych.

Z rodzinnego albumu. Wojna – ucieczka

za Bug.

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*



Teresa Fabijańska, fot. arch. autorki

Teraz my staliśmy się uciekinierami. Były ich tysiące. Drogi zamieniły się w rzeki ludzi. Tłok byt tak wielki, że niepodobna było jechać. Można było zatratować żywych, popychających się wzajemnie, walczących o swoje miejsca, o prawo do istnienia. W jakim tempie mogliśmy się posuwać końmi niech zobrazuje

postać górala w sukiennych, białych spodniach paradnych haftowanych w parzenice, w białej koszuli z ciupagą przez ramię, w kapeluszu czarnym z muszelkami ku ozdobie szedł boso, a buty dyndały związane sznurowadłami na plecach. Piękna, wełniana gunia niedbale zwisała z ramienia. Mijaliśmy się co jakiś czas, to on nas wyprzedzał, to my jego. Przy każdym spotkaniu unosił kapelusz do góry i pozdrawiał.

Ludzie taszczyli tobołki, ciągnęli bydło, wieźli na małych, dziecięcych wózeczkach wszelaki dobytek. Kto czym mógł jechał, kto co miał zabierał ze sobą na wschód. Posuwała się ta masa ludzka i zwierzęca nieuporządkowana, nie do opanowania, niebezpieczna sama dla siebie. Posuwaliśmy się powolutku szukając ciągle możliwej przestrzeni. Był upał, niebo bezchmurne, paliło słońce bezlitośnie i co chwilę przelatywały nad głowami samoloty, które ostrzeliwały się na naszych oczach, dymiły i spadały płonąc na domy i drzewa. Grozę i niebezpieczeństwo powiększały jeszcze salwy z karabinów maszynowych.Na drodze panował straszny hałas i zgiełk, ludzie się gubili, krzyczeli, nawoływali, przewracali i popychali. Strzelano z góry do moich braci, bo byli w rogatywkach harcerskich w kolorze wojskowym. Osłoną były nam stogi siana. Jakoś dotarliśmy do rzeki o nazwie Ługa pod Uściługiem. Most był zerwany, więc przebyliśmy ją wpław nie szukając brodu. Konie omal się nie potopiły, a bryczka zanurzyła się w wodzie. Jej skrzyniowa konstrukcja uratowała mnie przed wypadnięciem, ale

i tak wszystko pływało: moja lalka, Eli komódka, braci znaczki nie mówiąc już o jedzeniu załadowanym na wóz. Po drugiej stronie Ługi trafiliśmy na świeże pobojowisko. Była tam potyczka polskich wojsk napadniętych przez miejscowych Ukraińców. Pole bitewne usłane było oskalpowanymi trupami Polaków, rozrzuconymi nabojami, granatami i szczątkami ludzi i umundurowania. Musieliśmy przez to wszystko przejechać. To było straszne. Później zbieraliśmy naboje, całe załadowane magazynkami, pomagaliśmy polskim żołnierzom. Leżało tam dużo granatów ręcznych. Podniosłam jeden w kształcie gęsiego jaja o rowkowanych podziałach. Bardzo mi się podobał i chciałam się nim pobawić, ale Witek już był przy mnie i szeptem kazał mi to ostrożnie położyć. Ze strachem, ale posłusznie to uczyniłam. Podobno był odbezpieczony. Cud! Dotarliśmy wreszcie do Uściługa, ale naszej rodziny, cioci Irki Wołowskiej już tam nie było. Uciekła do Zarzecza.

Więc i my pojechaliśmy do Zarzecza, majątku dziadka Stefana Taczanowskiego, brata naszej babci ze strony taty. Ciocię Irkę znaleźliśmy w wykopanym w ogrodzie rowie wielkości po-jedynczego grobu. Tuliła maleńką, dwutygodniową Madzię w beciku. Babcia z półtoraroczną Danisią usiłowała we dworze spełniać normalne, codzienne, domowe czynności sama, bez służby. Nie pamiętam czy nocowaliśmy we dworze, czy pojechaliśmy dalej. Zapamiętałam szerokie plenery Wołynia, kopy siana na polach, może były to stogi koniczyny i sterty

słomy, pod którymi chroniliśmy się dla odpoczynku. Nie wiem ile dni jechaliśmy i kiedy znaleźliśmy się w Biskupicach (lub Biskupiczach wg Aftanazego) należących wówczas do hr. Kaszyckiego, gdzie był nocleg w kącie dworskiej oficyny, pokotem na słomie. Karmiło nas wojsko polskie swoimi konserwami z grochówką i wieprzowiną. Biegaliśmy z braćmi oglądać zestrzelony polski samolot „Karaś". Właziliśmy do środka i nawet chłopcy zdobyli pierwsze i chyba jedyne trofeum wojenne. Była to mała lampka, a raczej szkiełko przykrywające, czerwone i wypukłe, wielkości orzecha włoskiego. Długo przewracało się w szufladce z rupieciami maminego biurka, teraz jest u Julka. Wszystko to, co się działo wokół nas było ogromnie interesujące i niezwykłe. Nie potrafiliśmy dzielić niepokoju matki i babki. W Biskupicach zamieszkaliśmy później w pałacu i byliśmy oprowadzani po pięknych ogrodach, gdzie hodowano nadzwyczajne gatunki róż oraz szparagi. Ogrodnik szczycił się wyhodowaniem odmiany tzw. czarnej róży, rzeczywiście była bardzo ciemnoczerwona. To wtedy, tam, w Biskupicach z rąk nobliwego dżentelmena (nie wiem kto to był) dostałam pierwszy kwiat w moim życiu – pąsową, pachnącą, cudowną różę.



Małżeństwo Eleonora i Józef Fabijańscy (mama i tata) w oczekiwaniu na potomka, moją starszą siostrę Elę, u cioci Helenki w Lublinie, 1924 r.

Dlaczego zawędrowaliśmy aż do Biskupic? – dlaczego nie do Zarzecza? – nie wiem. I nie chcę pytać rodzeństwa, zresztą, pewnie też nie wiedzą. Piszę swoje wspomnienia, to co zapamiętałam jako niespełna siedmioletnie dziecko. Szkoda, że nie zapamiętałam co mi się śniło, gdy spałam jedną noc w bryczce (o tym po latach powiedział mi brat Julek). To piękny i fascynujący przyczynek do życiorysu – gorąca noc pod wygwieżdżonym niebem we wrześniu 1939 roku na Wołyniu. W

mej pamięci to biała plama, ale może symbolicznie związana z późniejszym zawodowym życiem?

Po kilku dniach spędzonych w kwitnącym majątku, zapadła decyzja powrotu przez Włodzimierz Wołyński, gdzie mieszkała ciocia Janka, siostra taty z mężem, córką i matką. Był to już 18 września i wojska sowieckie nie wpuszczały nikogo do miasta. Witek, sprytny chłopak, przedarł się sam wykorzystując moment nieuwagi, a może łagodność i wyrozumiałość żołnierza. Dotarł, powiedział, że wracamy do Hrubieszowa i żebyśmy czym prędzej opuściły Włodzimierz.

Wróciliśmy szczęśliwie do siebie dzięki zaistniałej sytuacji, gdy Niemcy już byli, ale cofnęli się z Hrubieszowa, a Sowieci jeszcze nie doszli. W tym krótkim okresie kilku dni miasto było w polskich rękach.

Niestety, nasze mieszkanie zastaliśmy splądrowane, rozgrabione i w rozgardiaszu. Stały ogołocone ze wszystkiego meble i walały się puszki po konserwach niemieckich, wojskowych, a na stole pozostały butelki po winie, w których mama przygotowała sodę na maseczki przeciwgazowe. Wszystkie bowiem kobiety zostały przeszkolone na wypadek wojny i mama zrobiła duży zapas dla całej rodziny tego płynu, przecież nie do picia. Myślę, że skutki działania sody w żołądku żołnierze zapamiętali na całe życie.

***

Siedziałam na biurku mamy i patrzyłam przez okno jadalnego pokoju wychodzące na reprezentacyjny podjazd z okrągłym klombem kwiatowym i strzyżonym trawnikiem. Widać stąd było część ogrodu ze srebrnymi świerkami i szpalerem grabowym, krzewami magnolii i berberysu. Od ulicy oddzielało murowane ogrodzenie o żeliwnych sztachetach i takaż brama o dwu skrzydłach gościnnie otwartych. Szereg starych drzew jesionów i kasztanowców do dzisiaj jeszcze mówi o ważności tego dworu. Spod portyku było wejście do apteki i ludzie ciągle wchodzili i wychodzili. Szałwia się czerwieniła, aksamitki złociły, tylko trawa nie zawsze miała czystość i soczystość zieleni. Przerastał ją gęsto ptasi rdest, mniszek lekarski i babka lancetowata. Zwłaszcza ptasi rdest lubił sobie pohulać i wszędzie było go pełno.

To okno było moim ulubionym miejscem, zwłaszcza, że pod biurkiem, z mnóstwem ciekawych szuflad, było mieszkanie dla lalek. Teraz wszystkie uchwyty od szuflad były wyrwane, zameczki tudzież i tylko jedna szuflada nie została otwarta przez złodziei. Mama mówiła, że to cud. Właśnie w niej przechowywała biżuterię i w szkatułce relikwię – pamiątkę z pielgrzymki do Rzymu w 1925 roku. Tą świętością był gwóźdź ręcznej roboty, wykonany na wzór tych, którymi przybito Chrystusa do krzyża. Dokument po łacinie objaśniał i zaświadczał, że został potarty o prawdziwy, Chrystusowy. Mama owinęła go w jedwabną

chusteczkę i tylko czasem nam pokazywała. Fakt – tylko ta szuflada nie została zbeszczeszczona. Relikwię tę przechowuję ze czcią i przekażę któremuś z wnucząt.



Rodzina Fabijańskich w ogrodzie. Tata Józef, Witek, Ela, Julek, ja, mama Eleonora, Zamość 1936 r.

Po naszym powrocie przybyło polskie wojsko i rozłożyło się taborem w parku. Stały namioty, żołnierze jakby na luzie, a jednak czuwali – siedzieli na trawie, chodzili. W pewnym momencie w bramę wjechał kałmuk na małym, zwrotnym koniu. Miał na sobie szynel wojskowy z wiszącymi strzępami, które

zwisały dołem, jak frędzle, na sznurku zwisał bagnet, na głowie barankowa, kozacka (?) czapa typu papacha. Miał twarz azjaty, o wydatnych kościach policzkowych, płaskim, szerokim nosie i szparkowatych oczach. Miał w ręku pistolet, nagan rosyjski. Wyciągnął prawą rękę w górę i każąco krzyknął – „Ruki w wierch”! – Zaskoczeni żołnierze podnieśli się niepewnie i powoli unieśli ręce do góry na znak poddania się. Widać było osłupienie i przerażenie na twarzach. Może spodziewali się raczej Niemców, przecież z Sowietami nie mogli walczyć, bo taki był rozkaz Rydza-Śmigłego. Za kałmukiem wpadła cała horda dzikusów, którzy rozbrajali Polaków, zdzierali im naramienniki z dystynkcjami, deptali po nich, a odebrane karabiny kazali składać w kozły. Wszystkich Polaków wzięto do sowieckiej niewoli. Pierwszy obóz w Hrubieszowie zorganizowano na dziedzińcu szkół powszechnych, które mieściły się w ogromnym nowym budynku, daleko za mostem Chełmskim, w pobliżu przedwojennych koszar. Chodziłam tam cały rok do szkoły już po tzw. wyzwoleniu w 1944/1945 r.

Do dzisiaj prześladują mnie koszmarne sny związane z drogą, którą musiałam codziennie pokonywać, idąc na skróty dobrych parę kilometrów. Zawsze tam wiało, zwłaszcza na moście, a w czerwcu niemiłosierna spiekota. Niepotrafiła mi tego wynagrodzić malownicza Huczwa, do której od strony ulicy Kilińskiego schodziły pasami ogrody pełne zarośli, pochyłych drzew wierzbowych, kąpiących się malowniczo w wodzie, na

której kołysały się tu i tam małe czółna przywiązane linkami do drewnianych słupów i pomostów niczym w Wenecji. To do dziś bardzo piękny zakątek. Ulica Kilińskiego ma miękkość łuku, powtarzając zakole Huczwy. Od frontu domy przeważnie drewniane, stare, z ganeczkami i ogródki kwiatowe, za domami zieleń sadów schodzących aż do rzeki. Nie wiem doprawdy dlaczego w moich snach jest coś lękliwego, zwłaszcza w tym pokonywaniu mostu. – Tak często mi się śni…

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej w 2021 roku będą się ukazywać w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

> Z rodzinnego albumu. Zamość.

> Z rodzinnego albumu. Hrubieszów.

> Polskie siedziby rodzinne. Czumów.

Wywiad:

> Historia w karetach zaklęta

TERESA ZOFIA FABIAŃSKA-ŻURAWSKA *ur. 30 września 1932 r. w Zamościu, w Polsce, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych. W 1956 r. ukończyła studia Historii Sztuki na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego /KUL/ otrzymując tytuł magistra. Doktoryzowała się w Warszawie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk uzyskując tytuł doktora nauk humanistycznych w 1982 r. W latach 1963-1994 pracowała w Muzeum-Zamku w Łańcucie kierując Działem Pojazdów Konnych. W latach 1984-1987 wykładała na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. Były to wykłady monograficzne z zakresu historii pojazdu zaprzęgowego, jego miejsca w kulturze, sztuce i obyczajach. Słuchaczami byli studenci Historii Sztuki – III-V roku studiów. Podczas wielu lat pracy w Muzeum organizowała wystawy na terenie Polski i w samym Łańcucie, prowadziła działalność popularyzatorską i dydaktyczną. Napisała i opublikowała 36 książek i artykułów związanych z dziedziną pojazdów konnych, innych publikacji ponad 100. Od 1965-1993 roku brała czynny udział w konferencjach Międzynarodowego*

Stowarzyszenia Muzeów Transportu /IATM/ przy ICOM /International Council of Museums/ reprezentując Polskę i Łańcut, wygłaszając referaty o polskich zbiorach muzealnych, problemach konserwatorskich dotyczących różnych eksponatów np. kolaski polskiej z XVIII w., na temat rekonstrukcji karet Jana III Sobieskiego i w pracach dydaktycznych w muzeach. Wszystkie wygłoszone referaty zostały opublikowane w roczniku Stowarzyszenia IATM pt. „Yhe transport Museums", miejsca gdzie odbyły się te konferencje to: Budapeszt, Frankfurt/M, Paryż, Praga, Waszyngton. Dla pogłębienia wiedzy wyjeżdżała na stypendia do Francji, Portugalii, Włoch oraz do Belgii, Holandii, Anglii, Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Danii, Szwecji, USA, Rosji, do Czech i na Węgry, służbowo lub prywatnie, zapoznając się tam z muzeami państwowymi i kolekcjami prywatnymi dotyczącymi pojazdów konnych, obyczajów i etykiety dworskiej i dyplomatycznej. W Paryżu, pod patronatem Sorbony odbywała badania i poszukiwania archiwalne, poznawała kolekcje i biblioteki m.in. słynne zbiory „Hermesa" przy Faubourg St. Honore i Compliegne poza Paryżem. Stale kontynuuje kontakty profesjonalne, publikuje, opracowuje i popularyzuje.